

Przyjaciół nikt nie będzie mi wybierał, wrogów poszukam sobie sam, dlaczego k.... .., bez przerwy poucza ktoś, w co wierzyć mam? Andrzej Garczarek

bibuła

Stowarzyszenie Wolnego Słowa

sws.org.pl ISSN 1733-6262 czerwiec 2008

Wsiąkanie w bibułę

Różne były motywy, skłaniające do zajęcia się knuciem. Nie zawsze człowiek zdawał sobie zresztą sprawę, że przekroczył jakąś granicę, że od tej pory wszystko już, całe życie wyglądać będzie inaczej. Wiele miał do powiedzenia przypadek, czasem motywy przypominały przysłowie „na złość mamie odmrozę sobie uszy”. Chciałem być pisarzem, myślałem o robieniu filmów, starałem się żyć poza polityką i myślałem, że uda mi się tak przebijać całe życie, niby w PRL, ale tak naprawdę obok PRL. Kiedy na którymś piętrze warszawskiego hotelu ŻNP zorientowałem się, że miły pan, który przedstawił się jako nauczyciel, znajomy mojej mamy, a który tak mnie wypytuje o kolegów z akademika, jest esbekiem, postanowiłem zrobić mu na złość. Spisałem sobie jego monolog, nazwałem to „Choróbka” i starałem się przekazać tekst do Radia Wolna Europa, mając nadzieję, że po nadaniu przez wraź rozgłoszę, typ będzie miał co najmniej nieprzyjemności. A w każdym razie, mocno się zastanowi, kiedy przyjdzie mu chęć złowienia kogoś podobnego do mnie. Było to przed Czerwcem 76, KOR jeszcze nie istniał, więc lepsze-go pomysłu na dokuczenie komunie nie miałem. Potem powstał KOR, tekst usłyszał Antek Pawlak, bo czytałem go gdzie się dało, z nadzieją, że ktoś pomoże mi przekazać go do Monachium i zaproponował publikację w powstającym dopiero piśmie młodych pisarzy „Puls”. Tak też się stało, tekst poszedł potem na antenie RWE, a ja w międzyczasie wsiąknąłem...

Inni wsiąkali inaczej... O tym między innymi piszemy w bieżącym numerze „Bibuły”...

Jan Strękowski

„MAM PIĘĆ LAT” – opowieść o plakacie

Gdy zastanawialiśmy się nad tematami artykułów do nowego numeru „Bibuły”, Wiesiek Bieliński podsunął mi pomysł napisania o dziewczynce z plakatu. Chodziło o plakat upamiętniający 5-lecie Solidarności. Pamiętałam go mgliście: dziecko w dżinsach i białym T-shircie z napisem „Mam pięć lat” trzymające uniesioną dłoń w geście Victorii.

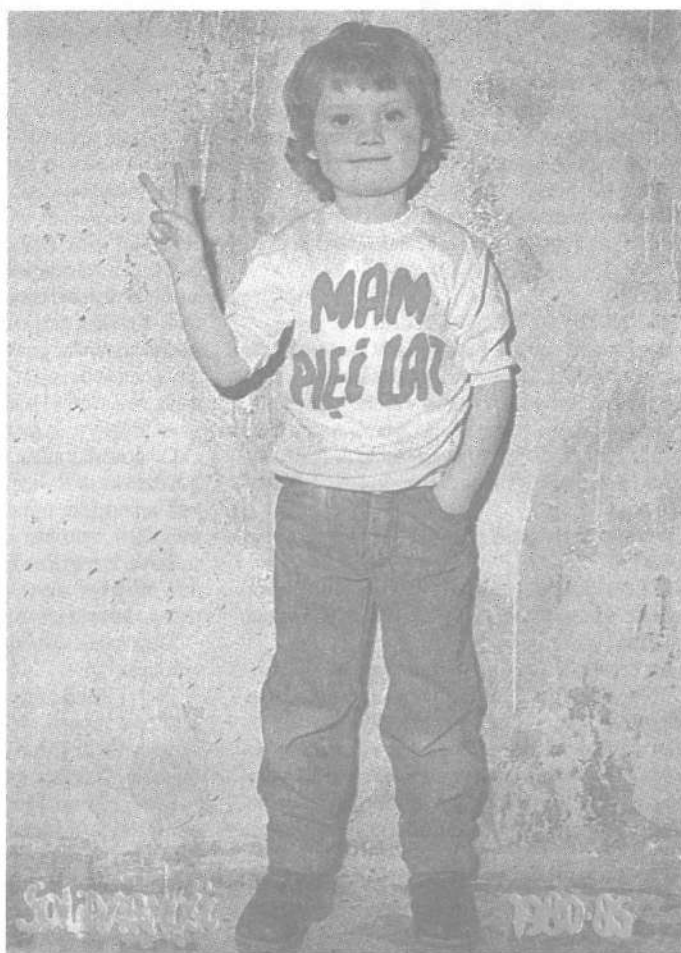
– Dwaj spośród czterech inicjatorów plakatu już nie żyją, więc się śpiesz. Ci nieżyjący to Edward Wasilewski i Jan Gogacz. A żyjący, Krzysztof Siemieński i Słoń, czyli ja; też jesteśmy wątpliwego zdrowia – dodał Wiesiek (choć jeśli chodzi o niego, to wydał mi się okazem zdrowia, ale pozory mylą).

Wkrótce okazało się, że – jak to bywa po latach – uczestnicy wydarzeń pamiętają je na różne sposoby. Wiesiek zapamiętał ścianę.

ŚCIANA, czyli tło

W Bieliński: Naradzaliśmy się w pracowni Edka Wasilewskiego na Ursynowie. Siedzieliśmy na kanapie i zastanawialiśmy się nad wyborem ściany, która miała być tłem plakatu. Wymyśliliśmy, że ściana powinna być szaro-ponura, taka socjalistyczna. Miejsce też było ważne – bezpieczne, no i modelka nie powinna się przeziębić (akurat była zima).

CDN str. 2



Spełnione marzenia

Wydawnictwo „Przedświt” 1982-1989

Przed wszystkim chcieliśmy wydawać dobrą literaturę. Opublikowaliśmy nawet kilka tomów wierszy, które nie miały nic wspólnego z opozycyjnością – podkreśla Waław HOLEWIŃSKI, lider „Przedświtu”. W gorącym okresie stanu wojennego, gdy powstawała ta oficyna wydawnicza, wcale nie była to motywacja oczywista. W podziemnej „Solidarności” bardzo żywe było przekonanie, że trwa walka z systemem komunistycznym, a wydawnictwa podziemne są

w niej ważnym orężem. Poczucie to z czasem słabło, nawet jednak i w drugiej połowie lat 80. wiele osób uważało, że niezależne wydawnictwo musi mieć wyraźnie antysystemowe oblicze, a niezależny autor to człowiek, który nie wydaje w obiegu oficjalnym.

„Przedświt” szedł pod prąd takiemu myśleniu.

⇒ str. 9



"MAM PIĘĆ LAT"

– opowieść o plakacie



ze str. 1

Nagle ktoś stwierdził, że ściana pod którą stoi kanna idealnie nadaje się na tło. Jakis fachowiec (NN) rozpoczął niegdyś remont pracowni od zerwania tapet i zniknął, a ściana pozostała. Scenografia była gotowa!

Anna Kołyszko (ówczesna dziewczyna Edwarda Wasilewskiego) także zwróciła uwagę na ścianę:

To ściana w mieszkaniu Edka na ulicy Służby Polsce (ulicy, która mimo wszystko do dzisiaj nie zmieniła swojej nazwy, a już wtedy była przedmiotem naszych kpin). Edek przeprowadzał wtedy generalny remont mieszkania i zdarł „socjalistyczne” ohydne tapety, i odsłonił betonową ścianę. I właśnie ten nierówny szary beton został wybrany świadomie na tło.

Najmniej pamięta fotograf Jarosław Denysenko: Chcieli chyba, żeby to wyglądało na zdjęcie robione w piwnicy. Ustaliliśmy, że jednak nie będziemy tego robić w piwnicy, tylko na tle zaprawionej betonem ściany, która miała imitować ścianę w piwnicy. Ponieważ mieszkanie chyba było na samej górze, więc myślę, że ta ściana była w tym mieszkaniu lub gdzieś obok niego.

To było w mieszkaniu-pracowni Edka Wasilewskiego przy ul. Służby Polsce 1 – uściśla Krzysztof Siemieński.

POMYSŁ, czyli co było na początku

Najpierw był papier – wspomina W. Bieliński. – Na początku 1985 r. Edek znowu zaczął marudzić o świetnym papierze, który kupił kiedyś w spółdzielni „Wzór” na zasadzie „daję, to biorę na zapas, może się przyda”. Marudził, że taki świetny papier, że do druków artystycznych, że musimy coś na nim wydrukować, coś wyjątkowego.

W takim razie na początku był papier – zapisuję pieczołowicie.

K. Siemieński inaczej widzi początek: Wszystko zaczęło się od tego, że Edek był świetnym fachowcem: grafikiem i sitodrukarzem.

Rzeczywiście, z tym zgadzają się wszyscy.

W. Bieliński: Edek był plastykiem, specem od sitodruku, filozofem i redaktorem z zamiłowania. Od kilku lat wspólnie z Jankiem Gogaczem i Krzyskiem Siemieńskim (po jakimś czasie dołączył Słoń, czyli ja) drukował na akcie zaprojektowane przez siebie solidarnościowe akcydensy, głównie kalendarze i jakieś jeszcze duperele.

A. Kołyszko: Edek Wasilewski, Krzysiek Siemieński i Janek Gogacz drukowali wtedy razem bibułę – książki, pismo „Vacat”, kalendarze Solidarności. Drukowali metodą sitodruku, to były duże ramy drewniane naciągane specjalną nylonową siatką tzw. silkscreen. Ponieważ trudno było o siatkę w dobrym gatunku, a używali jej sporo, bo drukowali w ilościach przemysłowych, przywoziłam im w roku 1985 zapas, kiedy wyjechałam na stypendium USIA do Stanów Zjednoczonych.

Na początku była siatka – odnotowuję. Jednak wyczuwając się w e-mail Wieska, dochodzę do wniosku, że nie. Na początku było olśnienie.

W. Bieliński: Nie pamiętam już, który z nas doznał olśnienia, że w tym roku mamy okrągłą rocznicę Sierpnia. Potem było już z góry: przypomnieliśmy sobie plakat z rocznym synem Antoniego Pawłaka, przygotowany na I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność”. Potrzebny nam był tylko pięcioletni chłopiec, i gotowe. Ale skąd go wziąć?

Już mieliśmy szukać kontaktu z Pawlakiem i prosić o „użyczenie” synka, gdy przyszło nowe olśnienie...

Były dwa olśnienia – notuję i dalej czytam e-mail.

...bo Krzysiek Siemieński przypomniał sobie, że jego córka Kasia też ma pięć lat!

K. Siemieński podaje już mniej chaotycznie: Z tego co ja pamiętam, na pomysł zrobienia plakatu wpadł Edward Wasilewski, „modelką” była moja córka Kasia Siemieńska.

A. Kołyszko: Oczywiście skojarzeniem było nawiązanie do plakatu na zjazd „Solidarności” w roku 1981 z synem Antka Pawłaka. Ja się z nich śmiałam, że to drwina ze słynnego plakatu „Mam 8 lat/tylko co Polska Ludowa/rosnę, by ją budować” (cytat niedokładny), a na plakacie śliczna blondyneczka z loczkami trzymająca na ręku przez budowniczego PRL. Komuniści też po latach postanowili odszukać dziewczynkę z plakatu na którąś rocznicę PRL, nie pamiętam, 25. czy 30.

MODELKA, czyli Kasia i jej strój

Skupiam się na wspomnieniach A. Kołyszki i dochodzę do wniosku, że jeśli nawet modelka nie wiedziała, w czym weźmie udział, to jej polityczna świadomość na temat: kto jest kim w PRL była powyżej przeciętnej.

A. Kołyszko: Pamiętam kilka urokliwych anegdot związanych z Siemieńskimi, w tym też z Kaśką. Siemieńscy nie kryli przed córką swoich sentymentów politycznych, Krzysiek nie przebiegał w słowach z wściekłości na system. Wciąż powtarzał, że wszystkiemu są winne „p...e czerwone pajaki”. Kiedyś wywaliło korki czy przepaliła się żarówka i kilkuletnia Kasia pyta: – Mamo, czy to też zrobiły p...e czerwone pajaki?

Od początku stanu wojennego ukrywali się – z matym dzieckiem!!! – najpierw u Edka, potem wynajmowali samodzielne mieszkania. Kiedy przeprowadzili się na Służew, wytopiła ich milicja, zrobiła kipsis – przeszukiwanie. Potem Ewa Siemieńska, mama Kasi, opowiadała mi, jak w zdenerwowaniu zjadła kartkę, na której było hasło, z jakim ma przyjść kolporter po bibułę.

Moja najukochańsza historyjka z Kasią zdarzyła się w sklepie.

Ewa i Kasia Siemieńskie: Spotkałyśmy kiedyś w sklepie takiego mężczyznę. Podbiegłam do niego i krzyknęłam: „To ten kubek, który zamknął tatusa!” Mama się śmiała, a on szybko wyszedł ze sklepu.

K. Siemieński: Modelka na potrzeby sesji zdjęciowej (a także dla kamuflażu) została ostrzyżona na chłopaka. Mimo to jej wychowawczyni z przedszkola rozpoznała ją i ostrzegała moją żonę, że „lepiej ufarbować Kasi włosy i zmienić fryzurę, żeby nie spotkała ją jakaś zła przygoda”. Na szczęście nic złego się nie stało.

Kasia nie pamięta, by obcinano jej włosy. Kasia: Jak o dziecko zawsze miałam krótkie.

W. Bieliński: Edek kupił koszulkę i namalował napis, to on był szefem artystycznym całego przedsięwzięcia.

A. Kołyszko: Pamiętam staranny dobór stylizacji stroju Kaśki. Chłopcy zastanawiali się, jak ma być ubrana. Wybrali dzinsy i saboty – wtedy te emblematy były symbolem wolności, Zachodu, nie wszystkie dzieci mogły być tak ubrane.

SESJA ZDJĘCIOWA, czyli jak powstała foto

A. Kołyszko: Do zdjęcia został wynajęty obcy, polecony przez kogoś fotograf. Wiem, że Edek podkreślał jego profesjonalność. W samej sesji nie uczestni-



Osoby dramatu

fol.: Jarosław Denysenko;

kierownictwo artystyczne: Edward Wasilewski;

projekt i realizacja: Grafex, czyli:

Gogacz – Jan Gogacz, drukarz księgowy oraz współzałożyciel i redaktor „Vacatu”, współpracownik wydawnictw: Nowa, Przedświt, In Plus;

Edek – Edward Wasilewski, drukarz wiodący oraz grafik (absolwent malarstwa ASP), twórca okładki wielu książek, redaktor, współzałożyciel i twórca logo „Vacatu”, współpracownik Nowej, Przedświtu, In Plus, współinicjator serii filozoficznej „Biblioteka Aletheia”;

Krzysiek – Krzysztof Siemieński, drukarz prosty oraz współzałożyciel „Vacatu”, współorganizator tzw. sekcji legalizacji wytwarzającej dokumenty dla ukrywających się działaczy podziemia, współpracownik Nowej, Przedświtu, współzałożyciel wydawnictwa In Plus, aresztowany w drukarni Nowej w 1983;

Słoń – Wiesław Bieliński, drukarz prosty oraz założyciel wydawnictw Postój i Cel oraz współpracownik kilku innych, w tym Przedświtu, współzałożyciel wydawnictwa In Plus.

czyłam, ale chyba trwała długo, bo pamiętam potem rozmowę z Edkiem, w której interesowałam się, czy i jak Kaśka wytrzymała takie długie zdjęcia.

K. Siemieński: Zdjęcie do plakatu robił kolega Wieska Bielińskiego, Jarek Denysenko.

J. Denysenko: Niestety niewiele mam wspomnień z realizacji tego zdjęcia, ponieważ były to czasy, że im mniej się wiedziało, tym lepiej. Ktoś mnie polecił, ktoś przyszedł – powiedziano o co chodzi, że mają dziecko, które ma 5 lat. Podano mi adres na Ursynowie, umówiliśmy się na odpowiednią godzinę, kiedy przyjechałam wszyscy czekali, ale nie przedstawialiśmy się sobie. Wszystko odbyło się bardzo szybko. Dziecko miało tylko stać i patrzeć w obiektyw, więc sprawa z mojej strony była prosta, bardziej chodziło o to, żeby to był chłopczyk, „zachodni” czyli Kodak lub Agfa i format 6x6 cm, ponieważ w tamtych czasach tylko z takiego formatu lub większego można było coś drukować. Myślę,

że była to Agfa, bo taką mogłem wtedy sam wywołać. Zdjęcia robiłem aparatem „Pentacon six” format 6x6 cm na diapozytywie 12 klatek.

Cała sesja z przyjściem i wyjściem mogła trwać maksimum 30 min. Przyszedłem, zrobiłem i wyszedłem. Po tem oczywiście przekazałem gotowy materiał człowiekowi, który to wszystko organizował.

Legalnie zajmowałem się fotografią aktu kobiecego, nielegalnie próbowałem dokumentować wystąpienia, demonstracje. Raz zrobiłem zdjęcie do paszportu ucharakteryzowanemu mężczyźnie – nikt wówczas nie przedstawiał się sobie. Tak było bezpiecznie.

DRUK, czyli wyczyn techniczny, i KOLPORTAŻ

K. Siemieński: Drukowaliśmy także w pracowni na Ursynowie, drukarzami oprócz Edwarda byli Gogacz, Bieliński i ja. Kolorowy plakat wydrukowano techniką sitodruku w nakładzie około kilkunastu tysięcy egzemplarzy. Druk trwał mniej więcej dwa-trzy tygodnie, bo każdy egzemplarz trzeba było ciągnąć rakłą z kolejnym kolorem farby cztery razy. Kolejny kolor można było nakładać dopiero po wyschnięciu poprzedniego. Druk wymagał bardzo dużej precyzji, bo trzeba było uważać żeby kolory się nie rozjechały, ale dzięki umiejętnościom Edwarda odpadów było bardzo niewiele, a jakoś efektu końcowego nawet dzisiaj nie budziłyby zastrzeżeń. Dużą część nakładu trafiła do rozprowadzania przez Grupy Oporu „Solidarni” za pośrednictwem (już niestety nieżyjącego) mojego przyjaciela Teosia Klincewicz. Część nakładu była kolportowana przez sieć Nowej prowadzoną przez Piotra Szwajcera oraz Przedświt (głównie Tomasz Dolecki). Część rozprowadzał Wiesiek Bieliński, Janek Gogacz i ja. Znaczną partia nakładu została przemyciona przez współpracowników Teosia na Zachód. Opowiadał mi kolega z opozycji – Mateusz Wierzbicki, że widział plakat rozklejony na płotach w Chicago.

A. Kolyszko: Edek twierdził, że to niezwykle wyczyn techniczny – druk kolorowego plakatu w takich warunkach. Dobierali kolory podstawowe (bodajże cztery: czerwony, niebieski, żółty, czarny) i każdy drukowali oddzielnie. Czyli cały nakład musiał być drukowany te cztery razy, a – co najważniejsze – wszystkie arkusze niezwykle precyzyjnie spasowane, żeby nie rozjechały się kolory.

Ja też rozprowadziłam jakiś plik wśród swoich znajomych.

W. Bieliński: Z drukiem naszego plakatu było inaczej. Wykonanie wyciągów barwnych i wkopiowanie grafiki Edek zlecił swojemu „dojczu” w Drukarni im. Rewolucji 1905 roku na Mińskiej 65. Następnie naświetlił sita i przystąpiliśmy do druku. Edward tak dobrał kolory, że mogliśmy zrezygnować z czarnego i zamiast czterech jądź wystarczyły trzy: żółty + purpura + niebieski.

Po zadrukowaniu każdego kilkuset arkuszy robiliśmy przerwy – Edek mył sito i doprawiał farby, to właśnie te przerwy najtrudniej było przetrwać. Edek rozcieńczał farby różnymi świństwami, a my wdychaliśmy opary. Dopóki trwała praca, było jako tako, ale w czasie przerw – wybić z ciągu automatycznie powtarzanych czynności, coraz bardziej czuliśmy, że tracimy kontakt z rzeczywistością. Nie dotyczyło to tylko Edka, na nim smród nitro czy cyklo nie robił wrażenia.

Po około tysiącu zadrukowanych arkuszy, szlag trafił emulsję i Edek musiał naświetlać nowe sito, a my mieliśmy dzień wytchnienia. Różne sygnowania (m.in. angielskie i francuskie) plakatów były możliwe właśnie dzięki temu, że całość nakładu wydrukowano z kilkunastu wersji matryc.

J. Denysenko: Pierwsze wydruki w technologii sitodruku były robione w wyższej rozdzielczości, jednak druk się rozmazywał i zdecydowano się na mniejszą rozdzielczość czyli mniejszy raster.

Małgorzata Zaremba

Dziewczynka z plakatu

Dom Siemieńskich był typowym domem opozycjonistów: rewizje, przesłuchania, tata w areszcie – czy zdawała sobie pani sprawę, że u koleżanek jest inaczej, normalniej, lepiej?

Wręcz przeciwnie – to u mnie było lepiej! Nasz dom (czy mieszkaliśmy u kogoś, czy sami, czy w maleńkiej kawalerce) zawsze był pełen ludzi. To był zdecydowanie mój żywioł! Dla mnie naturalną sytuacją było, że zajmowali się mną, oprócz rodziców, różni ludzie, znajomi, ze wszystkimi byłam na „ty” i dostawałam mnóstwo prezentów. Dla mnie Zbigniew Bujak to był Zbyszek, Władysław Frasyniuk – Wladek, do Magdy Urban mówiłam mamó (przez jakiś czas mieszkaliśmy razem), a Krzysztof Leski był tatą (bo był do niego podobny). Nie pamiętam też, żebym odczuwała jakiegokolwiek strach w czasie np. rewizji – bardziej ciekawość. Ja osobiście czułam się bezpieczna. Choć pamiętam dwie sytuacje, które mogły mi uświadomić, że mój dom jest inny. Przypominam sobie, że kiedy tata był w więzieniu jechałyśmy z mamą tramwajem i w pewnym momencie mama powiedziała, żebym pomachała tatusiowi, bo tatuś jest w więzieniu. Obie wtedy płakałyśmy, ale ja chyba dlatego, że ona płacze – nie żebym była świadoma, co to naprawdę znaczy. Pamiętam też, że kiedy inne dzieci pokazywały, jakie mają duże problemy chwytając się za głowę, ja miałam pokazywać jakie mam problemy z bolszewikami (taka zabawa). Kiedyś też w przedszkolu pochwalila się koleżankom, że mój tata jest w więzieniu i byłam z tego bardzo dumna. Zupełnie nie wiedziałam, dlaczego koleżanki podeszły do tego z rezerwą. U mnie w domu to było normalne!

Pani mama nie miała obiekcji co do pomysłu „wykorzystania” jej dziecka w niezbyt bezpiecznym przedsięwzięciu, jakim była realizacja plakatu.

Myślę, że moja mama nie podchodziła do tego w ten sposób. Nie sądzę, że traktowała to jako „wykorzystanie”, a raczej jako udział w pewnym przedsięwzięciu zorganizowanym przez tatę. Mama tylko i aż wspomagała tatę. Domyślałam się, że nie było jej łatwo zwłaszcza kiedy tata siedział w więzieniu a ona pracowała, studiowała i zajmowała się mną...

Wiedziała pani, w jakim celu idziecie do mieszkania Edwarda Wasilewskiego?

Tak, tzn. oczywiście nie byłam do końca świadoma o co chodziło, ale tata powiedział, że idziemy robić mi zdjęcia. Lubiłam tam chodzić, bo Edek miał psa, za którym przepadałam – jedliśmy z jednej miski itd., więc na pewno nie protestowałam.

Jak długo trwała sesja zdjęciowa? Może obiecano pani nagrodę za cierpliwość?

Nie pamiętam ile trwały zdjęcia, ale dla mnie to była zabawa. Nikt mi niczego w zamian nie obiecywał. Dostałam fajną koszulkę, przygotowaną specjalnie dla mnie, włożyłam drewniaki, które zawsze mi się podobały, i super się bawiłam. Może po jakimś czasie mi się znudziło, ale tego nie pamiętam.

Czy pokazałam pani plakat, gdy już był gotowy?

Tak, wiedziałam plakat i miałam wielką frajdę, ale chyba nie byłam świadoma, o co tak naprawdę chodzi. Kiedy zrozumiała pani, że to nie była zabawa i że została pani „wpisana” w część ważnej historii – chodzi mi o taką pełną świadomość.

Pierwszy raz zdałam sobie z tego sprawę, gdy zaproszono mnie do udziału w spotkaniu reklamowym Tadeusza Mazowieckiego, kiedy ubiegał się o prezydenturę. Ale nie zastanawiałam się nad tym wtedy za bar-

dzo. Miałam 10 lat. Przypominam sobie, że reklamówka była kręcona u nas w domu. Miałam spojrzeć na plakat, który wisiał na ścianie, uśmiechnąć się i powiedzieć: „Teraz mam 10 lat, nadal jestem za Solidarnością i dlatego popieram Tadeusza Mazowieckiego”. W pełni jednak dotarło do mnie, że zostałam „wpisana” w historię, kiedy zobaczyłam zdjęcie plakatu w książce J. Kuronia i J. Zakowskiego „PRL dla początkujących”.

Jak reagują rówieśnicy, gdy dowiadują się, kim jest dziewczynka ze sławnego plakatu podziemnej Solidarności?

Nie wszyscy się o tym dowiadują. Nie opowiadałam każdemu ani o plakacie, ani o udziale w reklamie wyborczej, ponieważ nie uważam, by było to moją zasługą. Ostatnio znajomi dowiedzieli się o tym przypadkiem, za sprawą mojego dziadka (ze strony taty). Byli zaskoczeni, ale bardzo pozytywnie. Kazali mi o wszystkim opowiedzieć. Ostatnio kolega historyk zadzwonił do mnie i powiedział, że właśnie stoi przed moim plakatem w muzeum w Gdańsku. To było naprawdę miłe – kolejny moment kiedy zdałam sobie sprawę, że jest to coś ważnego. Ale na co dzień tego nie odczuwam.

Dziewczynka z plakatu skończyła przedszkole, potem Szkołę Podstawową nr 293 im. J. Kochanowskiego, później XXX LO im. J. Śniadeckiego w Warszawie, wreszcie szkołę wyższą – Lingwistyczną Szkoła Wyższą w Warszawie kierunku tłumaczenia specjalistycznego język angielski. A teraz, co dzieje się w pani życiu, czy spełniają się marzenia?

Wszystko się spełnia. Ciężko na to pracuję. Nie mam własnej rodziny, jestem szczęśliwą singielką. Na studiach wzięłam urlop dziekański i pojechałam na rok do Anglii – jeszcze przed wejściem do Unii, także nie było kolorowo – pojechałam sama w ciemno, choć z językiem. Pracowałam jako kelnerka. Po roku wróciłam, skończyłam 4. rok studiów i pojechałam jeszcze na kilka miesięcy. Potem wróciłam, skończyłam studia (w maju bronię pracy magisterskiej na filozofii) i wyjeżdżam. Mam już w zasadzie wszystko zorganizowane, jednak nie chciałabym zapeszać. Mogę powiedzieć, że mam plan: jeszcze kilka lat spędzić za granicą, ale dalej – Azja, Ameryka Południowa, może coś jeszcze. Teraz uczę angielskiego w szkołach językowych, jestem Asistant Director of Studies, i tłumacz. Za granicą będę uczyć angielskiego i doskonalić francuski, hiszpański – taki mam plan na razie, potem zobaczymy. Nie wiem, czy na stałe chciałabym mieszkać poza Polską – chyba nie. Ale na razie, skoro świat stoi otworem i skoro tak o tym marzyłam, postaram się to wykorzystać. Jak ocenia pani działania pokolenia pani ojca, jego kolegów, koleżanek, którym chciało się coś zrobić wbrew – czy to tak samo odległa historia jak bitwa pod Grunwaldem i wystarczy zapamiętać daty?

Nie, nie jest to dla mnie jak bitwa pod Grunwaldem. Pamiętam kartki i inne atrakcje PRL-u. Podziwiam też i jestem wdzięczna tacie i innym, że ja właśnie mogę do pewnego stopnia czuć się obywatelem świata. Ale sama do polityki się nie garnę. Nie potrafiłabym się w tym odnaleźć i szczerze mówiąc, nie podoba mi się poziom i stan polityki w Polsce i to, że zamiast iść do przodu, cały czas tkwimy w przeszłości. Nie twierdzę, że należy o tym co się działo zapomnieć, ale też nie można wymagać od pokolenia np. mojej siostry (rocznik 88), żeby jakoś się z tym czasem utożsamiało.

Ale bardzo denerwuje mnie, gdy ludzie w moim wieku mają się za wielkich ekspertów i oceniają poczynania ludzi tamtego okresu.

Małgorzata Zaremba



Kasia Siemieńska w 2008 r.

Dobrze, że pan jest

Oczywiście nikt nie miał zamiaru sprawić jej przykrości, nawet ją zapewniali ze wszystkich sił, obie sąsiadki z piętra, dozorca, bykowały duren, który się znał na sadzeniu i przycinaniu róż, pielęgniarka z przychodni, wszyscy po kolei lekarze, którzy wzajemnie się wycinali podstępem i podrzucali jej kartę choroby, żeby nie iść na kłopotliwą wizytę, a także syn z Radomia, ale ten miał najmniej do powiedzenia, bo nie dostawał zgody milicji na wyjazd do matki do Warszawy.

A jednak czuła się tak, jakby cały świat ludzi o niczym innym nie rozmyślał, niczego innego nie nadał przez radio i telewizję, pisał w gazetach i tak dalej, jak tylko to, aby ją stłamsić i wypchnąć do grobu bez cienia przyjemności w ostatnich latach życia. Stała w oknie podparta na rękach dla polepszenia oddychania i patrzyła, jak na ścianie domu naprzeciwko wylazi z tynku ciągle ten sam od piętnastu lat napis „Wolność słowa”, wydrapany przez gospodarza, zamalowany przez ciotkę rewolucji Alicję Babińską, ongiś nawet zalepiany przez trójkę Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej, i miała tego widoku dosyć, zarówno wolności, jak i jej przeciwników.

Prawdę powiedziawszy, chciało się jej wymiotować, więc brała tabletki na nudności, i szumiało jej w głowie. Dreptała od końca do końca pokoju i miała wstręt do kuchni. Zadzwoniła do kierownika przychodni lekarskiej i wytłumaczyła mu, że nie może korzystać z pomocy zwykłych lekarzy rejonowych i prosi go na kolanach, żeby przyszedł on, bo tyle o nim słyszała. Więc przyszedł. Był młody i energiczny, lubiła takich ludzi. Zbadał ją sumiennie, wytłumaczył, jak się bronić przed dolegliwościami i na czym to wszystko polega, a na pytanie o ustawiczną płacziwość odpowiedział, że nie radzi czytać gazet i oglądać dziennika telewizyjnego.

Wtedy przyjrzała mu się lepiej. Kiedy się nad nią nachylał, chwyciła go za głowę i przytuliła do siebie. Nie wyrzywał się, czekał, aż jej to przejdzie.

– Pan wie najlepiej, co ludziom dokucza, pan wie – powiedziała. – Dobrze, że pan jest.

– Wiem.

– Brak wolności, pustka, straszliwe skrupowanie, wie pan, o czym mówię – powiedziała. – Ta sytuacja polityczna wytrąciła z równowagi nawet najtwardszych. Nie wiadomo już, kto tu rządzi. Czy ci, czy ci.

Puszysta Warszawa

Pewnego dnia gdzieś na przełomie 1984 i 1985 r. „Mariusz” wrócił z mieszkania „Cioci” z cotygodniowej odprawy z szefem wszystkich Grup Oporu „Solidarni” „Rafałem” – wówczas jeszcze nie znaliśmy jego nazwiska – i powiedział na zebraniu naszej Grupy, że z powodu kłopotów kadrowych (chyba chodziło o jakieś aresztowania) potrzeba pilnie rozsypać większą ilość ulotek. Były już wydrukowane, mogły się przeterminować, więc w trybie awaryjnym trzeba było podjąć błyskawiczne działania. Moja młodzieżowa grupa, wchodząca w skład Grupy Grochowskiej, była już dobrze zaprawiona w ulotkowaniu z ręki, chłopaki wręcz pokochali dreszcz emocji towarzyszący takim akcjom. Na naszą grupę wypadło 9 tys. Czas nagiął i nie pozwalał na opracowanie jakiejś wyrafinowanej metody. Chodziło o najbardziej ruchliwe miejsca w Warszawie. Postanowiliśmy więc załatwić to jednym przemarszem. Wyruszyliśmy z Placu Zamkowego w pięciu: „Łukasz”, „Magister”, „Turoń”, chyba „Ćwieku” i ja. Szliśmy zwartą grupą Krakowskim Przedmieściem, Nowym Światem do Placu Trzech Krzyży, następnie na Marszałkowską i Puławską do kina „Moskwa” i co przystanek wywaliliśmy porcję ulotek – pierwsza poleciała na Placu Zamkowym, ostatnie pod „Zieloną Budką” i przed kinem „Moskwa”. Żeby nie mieć przy sobie całego ładunku, „Mariusz” z kolegami szedł osobno. Obserwował akcję i transportował torbę z towarami, który był co jakiś czas dyskretnie przez nas pobierany. Na Nowym Świecie złapaliśmy ogon. Zmuszony byłam, niezbyt zresztą grzecznie, wytłumaczyć esbekowi, żeby zmienił marszrutę, zanim my się zajmujemy jego przemianą. Zrozumiał. O dziwo trasa została pokonana zgodnie z naszym planem i 9 tys. ulotek poleciało w górę. Tego dnia było w Warszawie naprawdę „puszysto”!

„Mieszko”/„Siwy”

Jeszcze nie zginęła

Żyjąc w świecie zalanym ulotkami reklamującymi dosłownie wszystko: towary, usługi i ludzi, już prawie zapomnieliśmy jaką jeszcze niedawno pełniły one rolę. Już od połowy XVIII w. zaczęły się pojawiać druki ulotne, których zadaniem był jasny, czytelny przekaz umieszczony na niewielkim kawałku papieru. Zwykle dotyczył działań wojennych, i często był wykorzystywany jako narzędzie propagandowe. W naszej historii ulotkami posługiwali się najwięksi przywódcy narodowi od Tadeusza Kościuszki po Stefana Traugutta i Józefa Piłsudskie-



go. Zawsze w okresach okupacji Polski ulotki były integralnym elementem walki o zachowanie tożsamości narodowej. Nic dziwnego, że w trakcie trwania PRL-u stały się jedną z metod walki stosowaną przez opozycję. Po trudnych czasach stalinowskich i łżejszych tzw. odwilży, kiedy to ruch pod-

towych działać czynnie. Taką działalność rozpoczęli Adam Borowski, organizator Międzyzakładowego Robotniczego Komitetu „Solidarności” (MRKS), Marek Hołuszko ps. „Hardy” przewodniczący Międzyzakładowego Komitetu Koordynacyjnego (MKK) oraz Andrzej Niedek ps. „Alek”, który wraz ze swymi karatekami zapoczątkował działalność późniejszych grup RKW Mazowsze. Już w końcu zimy 1982 r. została zrealizowana przygotowywana wcześniej przez ukrywającego się Teosia Klinecwicza ps. „Borys” (potem „Rafał”) koncepcja powołania Grup Specjalnych RKW „Solidarności” Regionu Mazowsze. Udało się skoordynować (począwszy od grupy „Alka”) kilka już działających oraz stworzyć nowe. W sumie na terenie Warszawy w różnych okresach lat 80. działało kilkanaście grup, czasami zasilanych uczestnikami z innych struktur, takich jak MRKS czy FMW (Federacja Młodzieży Walczącej). Wkrótce, ze względu na oskarżanie podziemia przez władze komunistyczne o terroryzm, na wniosek Zbyszka Bujaka zmieniona została nazwa: ze Specjalnych na Grupy Oporu „Solidarni”. Ich pomysłowość w szkoleniu czerwonymu i pokazywaniu narodowi, że „jeszcze nie zginęła” była olbrzymia. A technik ulotkowania – „tak aby było puszysto” jak mawiał Teoś – było wiele.

La bomba, Marlboro i sikorki

Najpopularniejszą i najczęściej stosowaną techniką był rzut „z ręki”. Wystarczyło przygotować 400 – 800 ulotek, przekartkować je, tak by nie trzymały się po rzucie w jednej bryle. Następnie układano je w cylindryczną formę pasującą do dłoni. Te zabiegi oraz wyrzut umiejętnym ruchem do góry takiej porcji gwarantowały zna-



ziemny nie miał dużego wymiaru, powstały Komitet Obrony Robotników i Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela. To ich inicjatywy zapoczątkowały działalność prawdziwej zorganizowanej opozycji demokratycznej. Wtedy ulotki na stałe zagościły na ulicach polskich miast. Od początku lat 70. ubiegłego stulecia nie tylko rozdawane były w zakładach pracy, środowiskach koleżeńskich oraz uczelniach, lecz także rozrzucały na ulicach, głównie z dachów budynków, wzbudzając wściekłość komunistycznej władzy. Takie były początki.

Ulotkowanie stało się prawie codziennością po chwilowym załamaniu spowodowanym wprowadzeniem stanu wojennego. Już wkrótce samodziennie zaczęły organizować się grupy ludzi go-

komity efekt „puszystości”. Każda jednak Grupa i uczestnicy akcji mieli swoje wypracowane i przećwiczone metody. W jednej z aktywniejszych Grup tzw. Waldeczków opracowano np. technikę zwaną „la bomba”. Polegała na tym, że po wszystkich czynnościach przygotowawczych, porcję ulotek owijano banderolą, którą można było łatwo przerwać. Pozwalało to na wcześniejsze przygotowanie wielu gotowych porcji – „bomb”.

Zwykle do sypania „z ręki” wybierało się miejsca uczęszczane, ale z możliwością, w razie kłopotów, ucieczki np. przez przejściową bramę. Oczywiście nie było to regułą, szczególnie kiedy po pierwszym strachu ta odrobina adrenaliny spodobała się rzucającym. Akcje w otwartym terenie, pozornie niebezpieczne, wielokrotnie stosowane były przez Grupę Grochowską, w trakcie przemarszu przez Śródmieście wyrzucano ulotki przy każdym przystanku autobusowym. Wymagało to oswajania się z tą

żyłką nylonową, aby po jej przerwaniu mogły się rozsypać. Taki pakunek przyczepiany był na dachu do gzymsu budynku i po uruchomieniu „zapalnika”, można było bezpiecznie zejść na dół. „Odpalenie” przewieszki odbywało się wieloma sposobami. Najczęściej był to po prostu lont przepalający żyłkę, ale często w jego zastępstwie stosowano metodę „na Marlboro”, czyli poprzez podłożenie jako lontu zachodniej produkcji papierosa. (Wtedy w Polsce jedyne dostępne, a nie gasnące były papierosy Marlboro, stąd ta nazwa.) Stosowane też były znacznie bardziej wymyślne sposoby. Chemiczna – z zastosowaniem ampułki ze żrącym kwasem, termiczna – uruchamiająca przepalanie żyłki po podwyższeniu temperatury otoczenia i połączeniu obwodów w ręciowych czujnikach temperatury pochodzących z systemów ogrzewania wagonów kolejowych. Najbardziej jednak egzotycznym chyba pomysłem była metoda „na sikorkę”. Żyłka utrzymu-

niczne wykonane ze sprężyn tapczanowych oraz chemiczne. Te ostatnie montowane na dachach nie strzelały, lecz po chemicznym uruchomieniu tłok wypychał ulotki na ulicę. Stosowane były na początku przez MRKS i Grupy „Hipolita”. Taka zmasowana akcja tych grup miała miejsce wczesnym latem 1982 r., na rogu Hożej i Marszałkowskiej nad kawiarnią „Pod Gwiazdami”. Między dachami domów był rozwieszany transparent, a chemiczne wyrzutniki rzucały ulotki. Kiedy wykonawcy zeszli na dół i zamówili w pobliskim saturatorze wodę sodową, właściciel nalał kilka szklanek, obrzucił ich badawczym spojrzeniem, popatrzył na umorusane ręce, i zdecydowanie odmówił przyjęcia należności, oświadczając: „Podchorążówka nie płaci”. Od tego czasu Grupa „Hipolita” została już „Podchorążówką”.

Najgłośniejszym echem odbiły się jednak ulotkowania za pomocą wyrzutników pirotechnicznych. Wprowadzone zostały w 1983 r. (początkowo z zapłonem lontowym, potem elektronicznym). Wykonane były z szerokiej hydraulicznej rury PCV długości ok. 30 cm, jednostronnie zakołkowanej z ładunkiem pirotechnicznym w środku, odizolowanym warstwą azbestu i dwoma warstwami gumy od wystrzeliwanych ulotek. Ustawiane były w ruchliwych punktach, ale tak, by nie wyrządziły krzywdy postronnym ludziom.

Cała Warszawa była wielokrotnie nimi obstawiana przez wszystkie GO „Solidarni”, a wielką sławę zyskały wyjazdowe akcje „Waldeczków” i Grupy Grochowskiej do Katowic i Wrocławia. Stały się one głównym tematem PRL-owskich mediów, chwalebnie zauważone przez niezapomnianego rzecznika rządu – Jerzego Urbana. Wszystkie wyrzutniki pirotechniczne wykonywane były w pracowni sekcji pirotechnicznej Grupy Grochowskiej na Saskiej Kępie. Robiły duże wrażenie na przechodniach, ich wystrzały budziły entuzjazm. Jednak nie były zbyt bezpieczne. Po kilku wypadkach cięższych i najcięższym – w 1985 r. „Mariusza” kierującą Grupą Grochowską – Teo Klincewicz zdecydowanie zabronił stosowania tej metody. Nie powstrzymało to jednak dalszego ulotkowania bardziej tradycyjnymi metodami.

W drugiej połowie lat 80. zrealizowany został pomysł Teosia na wydawanie szczególnej gazetki w formie nieco większej ulotki. „Kurier Mazowski” – bo taki nosił tytuł – rozrzucał przez Grupy do ostatnich dni PRL, rozpowszechniając prawdziwe informacje i odkłamując posunięcia władzy. Potem został przekształcony w oficjalny organ legalnej już „Solidarności” Regionu Mazowsze. Prowadzony był jeszcze przez kilka lat przez członków – już wtedy byłych – Grup Oporu „Solidarni”. Jako organ czysto związkowy przetrwał do chwili obecnej.

Mariusz Zb. Zieliński

– To prawda – powiedział.
– O, jak dobrze, że pan jest! Wiele nie podobają się panu nowe czasy?
– A pani?
– Ja nie jestem ani za, ani przeciw. A pan?

– No, ja też.
– Dzięki, już mi lepiej – powiedziała. Leżała na łóżku. On wypisywał recepty i zlecenia dla służby pielęgniarskiej, zanotował w kalendarzu następną wizytę i plan zorganizowania dla niej pomocy ze strony ośrodka pomocy, wpisał na listę osób, które powinny dostać zapomogę. Opowiedział jej o tym, pogłaskała po głowie.

Zobaczył, że minęły jej nudności i zawroty głowy, czuła się wyraźnie dobrze, uśmiechała. Mógł wyjść i tak też zrobił. Ponieważ zamknęła oczy, starał się nie trząść drzwiami.

Kiedy usłyszała turkot windy i była pewna, że wyszedł, podniosła słuchawkę, nakręciła numer i poprosiła do telefonu porucznika Bigla.

– Porucznik Bigiel już tu nie pracuje.

– A gdzie?
– Prywatnie.
– To pracuje prywatnie? A pan jest na jego miejscu?

– Można tak powiedzieć. Słucham pani, w czym mogę pomóc?
– Panie poruczniku – powiedziała. Dobrze, że chociaż jest pan. Mam dla pana coś ciekawego. To jest kierownik przychodni rejonowej, nazywa się doktor Szczepański. To jest nasz wielki przeciwnik! Gdybym była na pana miejscu, zrobiłabym wszystko, żeby go złapać i wydusić z niego kontakty, ludzi, wszystko co wie. On jest bardzo niebezpieczny, ma duży wpływ na ludzi. A takich to łatwiej zaprosić do współpracy. Wie pan, o czym mówię. Albo skazać. Wie pan, o czym mówię.

– Imię?
– Nie wiem – sięgnęła po receptę. – Andrzej. Tak jest na pieczęcie. Mam to dostarczyć? Ale korespondencyjnie, bo ja – zawiesiła głos, żeby wyrazić zachwyt stanem swego zdrowia – jestem niechodząca, proszę pana!

– Jeszcze coś?
– Nie, dziękuję, ale to bardzo dziękuję.

Po czym odłożyła słuchawkę. Włączyła radio i zaczęła szukać audycji Radia Wolna Europa. W duchu dziękowała lekarzom za to, że istnieją. Świat bez lekarzy... trudno to sobie wyobrazić, naprawdę.

Piotr Müldner – Nieckowski
(zbiór „Raz jeden jedyny”, OW
Volumen 2007)



metodą oraz wiedzy na temat psychologicznego mechanizmu występującego u większości przechodniów. Po wyrzucie ulotek, oczy wszystkich od razu zwracają się w górę, żeby zobaczyć co się dzieje, nie rejestrując skąd one pochodzą. Jeżeli jeszcze rzucający jest osłonięty swoimi kolegami (i koleżankami!) robiącymi sztuczny tłum, to niebezpieczeństwo maleje prawie do zera.

Druga metoda, znacznie mniej stresująca, choć wymagająca kondycji i braku lęku wysokości, to ulotkowanie z dachów. Najprostszy sposób, stosowany jeszcze od czasów KOR-u, to rozłożenie w słoneczny i wietrzny dzień wilgotnych ulotek bezpośrednio na dachu i po dodatkowym ich zmoczeniu spokojne zejście na dół, by obserwować efekty. Po wyschnięciu wraz z każdym powiewem wiatru ulotki sfruwały na głowy przechodniów. Nieco bardziej skomplikowanym sposobem była „przewieszka”. Należało przygotować – podobnie jak do ręki – paczkę zawierającą ok. 2–3 tys. ulotek w taki sposób przewiązanych np.

jąca przygotowane ulotki połączona była paskiem słoniny, do której zlatywały się sikorki i po pewnym czasie uruchamiały przewieszkę. Jedynym właściwie kłopotem było dostanie się na dach, gdyż strychy domów były zamknięte i trzeba było forsować kłódki, co czasem spotykało się z protestem mieszkańców.

Niebezpieczne wynalazki

Kolejna metoda ulotkowania, wypracowana już całkowicie w Grupach Oporu, to sypanie z rozwijanych megatransparentów. Podobnie jak w przypadku przewieszki, zrolowany transparent podwieszany był wysoko na budynku i naszpikowany wewnątrz ulotkami. Ciężar transparentu powodował, że trzeba było nie lada siły, żeby go umieścić we właściwym miejscu. W trakcie rozwijania uwalniał „puszysty” ładunek. W tej metodzie specjalizowała się Grupa „Grubego”.

Najbardziej spektakularne jednak były akcje z użyciem wyrzutników ulotek. Początkowo używane były mecha-

Skazany na banicję

30 lat temu w Katowicach powołano pierwszy w Polsce Komitet Wolnych Związków Zawodowych. Jednym z jego członków – założycieli był Władysław Sulecki górnik z kopalni „Gliwice”. SB wykazała godną uwagi pomysłowość, represjonując Suleckiego i jego rodzinę.

Zaszczyty i zaszantażowany, został (w przenośni, a poniekąd i dosłownie) wykopany z kraju, wyjeżdżając, pozostawił niezwykle emocjonalny list. Dziś, gdy wyjazd z ojczyzny kojarzy się z wycieczką lub możliwością zdobycia lepszego płatnej pracy, trudno uwierzyć (szczególnie czytelnikowi młodego pokolenia), iż dla górnika z Gliwic opuszczenie ojczyzny było ogromną tragedią.

W. Sulecki w latach 1977-79 był jawnym członkiem redakcji „Robotnika”, jego imię, nazwisko i adres drukowano w stopce pisma. W latach 1978-79 działał w Komitecie Wolnych Związków Zawodowych w Katowicach.

Wcześniej, w 1956 r., został zwolniony dyscyplinarnie z Milicji Obywatelskiej w Łabędach – jako człowiek głęboko wierzący, nie był tam na właściwym miejscu. Następnie został pracownikiem kopalni „Zabrze-Wschód”. To wówczas – jak sam wspomina – zaczęła się jego epopeja:

Był rok pięćdziesiąty szósty, znamienny w powojennej historii kraju. Górnicy gadali o różnych sprawach. Coraz powtarzali, że polską inteligencję wymordowali w Katyniu Niemcy, natomiast ja wiedziałem, że domowi rodzinnego, że zrobiło to NKWD. Tak też im powiedziałem. Jak to dotarło wyżej, to najpierw kazano mi się zgłosić do sekretarza partii, Szumilasa, a stamtąd zawieziono mnie od razu do Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Katowicach, gdzie mnie pytano, a skąd to niby wiem, że NKWD wymordowało polską inteligencję? Odpowiedziałem, że od matki, że takie były docierające do niej listowne wiadomości przed wywiezieniem krewnych do Ostaszkowa. Kazano mi jednak podpisać, że to zrobili Niemcy, a gdy dalej się upierałem przy NKWD, zamknięto mnie na czterdzieści osiem godzin. I zaraz potem znów na dwadzieścia cztery. Poszedłem do pracy, a tam była już karteczka do mnie; kazano mi zgłosić się do dyrektora kopalni „Zabrze-Wschód”. Dyrektor powiedział, że to nie on mnie zwalnia, tylko partia, komitet zakładowy.

W czerwcu 1960 r. w Gliwicach Sulecki wziął udział w obronie krzyża postawionego przez parafian kościoła przy ul. Hutniczej. Apelowali „Żądamy wolności Kościoła w Polsce”, a został oskarżony o rozgłaszanie hasła typu „Precz z komunizmem!”. W areszcie w Zabrze przesiedział dwa miesiące. W tysięczną rocznicę chrztu Polski, kiedy to Gomułka ogłosił hasło „Tysiąc szkół na Tysiąclecie”, pan Władysław przygotował transparent, na-

malował piastowskiego orła w koronie, krzyż i hasło „1000 lat chrześcijaństwa Polski” i pojechał z nim do Częstochowy. Po powrocie został wezwany do wydziału do spraw wyznań, gdzie zarzucono mu publiczne posługiwanie się symbolem krzyża i pytano, kto go do tego upoważnił.

W 1968 r. w czasie wydarzeń marcowych demonstrował w Gliwicach, w geście solidarności ze studentami przyjechał również do Warszawy.

Już w latach 60. SB nie dawała mu spokoju, przeprowadzała rewizje w mieszkaniu, zatrzymywała przed 1 maja i 22 lipca, w kopalni, mimo wzorowej pracy, odbierano mu premie, zlecano nisko płatne prace (np. zbieranie papierków). Dla Gliwickiego SB był solą w oku. Już w 1975 r. wezwano go na rozmowę i namawiano, by nie nawiązywał kontaktu z opozycją w Warszawie.

– A jest na to jakiś paragraf? – zapytałem [relacjonował Sulecki].

– Właściwie to nie ma – usłyszałem.

– To nie podpiszę – odrzekłem.

Represje stały się dotkliwe, gdy Sulecki został współpracownikiem KOR (za pośrednictwem ks. Ziei) i rozpoczął kolportaż niezależnych pism na terenie województwa katowickiego. Obserwowano go bez przerwy, pod jego domem stał radiowóz (jak wspominają odwieczający go, zawsze ukryty wśród bzu).

Występował w obronie robotników Radomia i Ursusa, za podpis pod oświadczeniem, że uczestnicy wystąpienia w Radomiu i Ursusie to warcholy, obiecano mu miejsce w partyjnym Technikum Górniczym w Bytomiu. Odmówił. W styczniu 1977 r. skierował do Sejmu PRL wniosek o powołanie specjalnej komisji do zbadania okoliczności wydarzeń czerwcowych. W tym samym roku zorganizował w kopalni akcję solidarnościową z głodującymi w kościele św. Marcina w Warszawie. Jeszcze przed wyjazdem z Polski bronił aresztowanego założyciela katowickich WZZ Kazimierza Świtonia.

4 maja 1977 r. został wezwany za włosy z mieszkania i pobity do nieprzytomności przez milicjantów, a we wrześniu MO odmówiła mu pomocy, gdy został napadnięty przez „nieznanych sprawców”. Po przystąpieniu do KZ WZZ represje się nasiliły, w kopalni („Gliwice”) zmieniano mu miejsca pracy, by ograniczyć wynagrodzenie, pozbawiono premii, przeszukiwano szafkę lub zalewano ją cementem, poddawano rewizjom osobistym, rozpuszczano nieprawdziwe informacje dotyczące jego życia rodzinnego, odmawiano przydziału mieszkania, a szef Marian Płonka zapowiedział, że zmusi Suleckiego do „jedzenia kartofli z solą”. Gdy przekonano się, że ani szykany, ani obietnice profitów nie wpłyną na zmianę poglądów upartego górnika, postanowiono pozbyć się wicherzyciela z kraju.

Co miesiąc przeprowadzano z Suleckim rozmowę ostrzegawczą, systema-

tycznie namawiając do emigracji do RFN (jego żona była rodowitą Ślązacką i miała rodzinę w RFN), grożono „nieszczęśliwym wypadkiem”, wyrzuceniem z pracy. Z ulicy, przy której mieszkał, wezwano wszystkich mieszkańców do SB, aby skłonić ich do złożenia obciążających Suleckiego zeznań (np. oskarżenie o kradzież drutu i słupków na płot albo o niemoralne prowadzenie się). Jak obliczył sam p. Władysław rozmowy przeprowadzono z ok. dwoma tysiącami mieszkańców!

Szykanowano również rodzinę górnika, najstarszą córkę wyrzucono z liceum, „nieznani sprawcy” zamalowywali okna w ich domu, podrzucali obornik pod drzwi mieszkania, funkcjonariusze systematycznie przeprowadzali rewiz-



W. Sulecki

Fot. zbiory Ośrodka KARTA

je, m.in. przeprowadzono rewizję na podstawie nakazu wystawionego na nazwisko osiemnastoletniej córki górnika (pod pretekstem rzekomego włamania do jubitera), parę miesięcy później zatrzymano ją na kilka godzin. Funkcjonariusze SB nachodzili rodzinę p. Władysława podczas jego nieobecności i namawiali do wyjazdu z kraju.

W skardze do Przewodniczącego Rady Państwa Sulecki opisał prześladowania, jakim był poddawany. „Metody SB polegające na zmuszaniu przy pomocy prześladowań do wyrzeczenia się polskości są szczególnie haniebne i amoralne, i godne powszechnego potępienia” – pisał. Powołał się na patriotyczną przeszłość rodziny. „Dziadek żony był uczestnikiem Powstań Śląskich, za co został zamordowany przez hitlerowców. Ojciec żony także brał udział w walce o polskość Śląska. Ja w czasie wojny walczyłem z niemieckim okupantem w szeregach AK, ojciec mój był umieszczony w obozie koncentracyjnym koło Gdańska”.

Oczywiście nie doczekał się odpowiedzi. Żona Suleckiego nie wytrzymała narastających represji i wyraziła zgodę na emigrację. Jej mąż, nie chcąc rozstawać się z rodziną, podpisał dokumenty wyjazdowe. SB mogła triumfować, opłaciły się szykany, inwigilacja, szantaż. Sulecki jednak jeszcze się nie

poddał. Złożył rezygnację z paszportu na pobyt stały, prosząc o paszport z możliwością wielokrotnego przekraczania granicy. Tym samym prosił, by nie wyrzucano go z ojczyzny, ale też nie pozbawiano kontaktu z żoną i córkami.

Nie dostał paszportu, tylko dokument podróży, co oznaczało, że nie ma prawa powrotu do Polski. PRL dała mu wilczy bilet!

Wyjechał z kraju w marcu 1979 r. Zmarł w Niemczech w 2004 r.

Ci, którzy go znali, wspominają, iż był bardzo miłym człowiekiem, spracowanym, zmęczonym, ale pełnym energii; zapamiętali również jego mieszkanie w familo, a to dlatego, iż ciasne pokoiki zajmowały półki wypełnione po brzegi książkami.

Małgorzata Zaremba

Opracowano m.in. na podstawie relacji zebranych przez Adama Dyrkę, zamieszczonych w książce *Wygnaćcie szlaki. Relacje uchodźców i emigrantów z Polski do Niemiec*, Oficyna Wydawnicza Volumen, Warszawa 2007.

List otwarty Władysława Suleckiego do górników Śląska wydrukowany w 30. numerze „Robotnika” (fragmenty)

Po osiemnastu latach pracy w zawodzie górnika zostałem zmuszony do opuszczenia mojego ojczystego kraju. Jest to wielką moją tragedią. Rozstaje się z moimi najbliższymi: matką, ojcem, rodzeństwem. Rozstaje się z przyjaciółmi, z ludźmi, z którymi wspólnie dzieliliśmy trud i troski, z ludźmi, z którymi łączyła mnie ta sama idea. Zawsze czułem się Polakiem i tak będzie do ostatniej chwili mojego życia. Zostałem postawiony przed koniecznością dokonania bardzo trudnego wyboru: albo zostać w kraju zostając się z żoną i z dziećmi, albo pozostać przy nich na obczyźnie. Zdecydowałem się na to drugie. Nie mógłbym znieść ustawicznego niepokoju o los najbliższych i nie móc się z nimi zobaczyć. [...] Wielką sprawę, której poświęciłem całe moje dotychczasowe życie muszę podjąć inni. [...] Będą wam obiecywać różne korzyści, lepszą robotę, premie, czy dni wolne w zamian za podjęcie nędznej roli psa gończego, żebyście donosili i wydawali swoich kolegów. Musicie mieć siłę, by móc wtedy powiedzieć NIE, by zachować ludzką godność. Największe pieniądze i bogactwo nie są warte utraty czci ludzkiej. Miećcie w pamięci ludzi, którzy nie wahał się poświęcić życia a nie odstępowali od tego, w co wierzyli. Nie dajcie się zwieść żadnym pozorom. Wasz prześladowca i tyran może przybierać różne maski, może udawać Waszego najlepszego przyjaciela. Z własnego doświadczenia wiem, jak bardzo przewrotną są metody agentów SB, których jedynym celem jest oszukać i wykorzystać.

„Robotnik” nr 30

E-7 z Bogumiłem

Jakoś od razu znalazłem się wśród tych, którzy nawiązywali kontakty z represjonowanymi w Ursusie. Oczywiście słyszeliśmy o Radomiu. Wiedzę czerpaliliśmy z Wolnej Europy. Ale nie mieliśmy żadnych kontaktów, nic więcej nie wiedzieliśmy o charakterze i skali protestu, a potem represji. Dopiero pod koniec lipca a może w początkach sierpnia, poznałem kogoś z Ursusa, kto siedział razem z kimś z Radomia.

Miejscem, gdzie się organizowaliśmy, często był lokal Klubu Inteligencji Katolickiej przy Kopernika w Warszawie. No bo wielu z nas tam właśnie uprzednio się poznało. To często była znajomość z widzenia, nie zawsze poparta choćby wzajemną prezentacją.

Z powodu skromnej wiedzy o Radomiu ktoś na Kopernika wymyślił, że trzeba wysłać ludzi, którzy nawiążą kontakty, pozyskają jakieś informacje. Bogumił Studziński znał kilku księży radomskich i to był powód, że padło na niego. Wtedy jeszcze żył ks. Kotlarz, którego niedługo potem zamordowano na plebanii w Pelagowie pod Radomiem, ale było oczywiste, że księża są pod specjalną troską bezpieki i nie wpadliśmy na pomysł, by telefonować celem zaanonswowania się. Pojechałem z Bogumiłem, bo byłem młody i chętny. Dorobku nie miałem żadnego, Bo-

gumiła przedtem chyba wcale nie znałem, a jeśli już, to tylko rozpoznawałem twarz z Kopernika. Ale to nie jest pewne.

Pojechaliśmy samochodem. U dwóch księży, znajomych Bogumiła, nic się nie dowiedzieliśmy. To samo po wycie w biskupa. Tak jakby w Czerwcu '76 nic w Radomiu się nie zdarzyło. Jest jasne – nie ufano nam. Był okropny upał. Samochód, jak to wówczas, nie był klimatyzowany, a my na miejscu dostawaliśmy same negatywne sygnały.

Nie były to czasy, by w takiej sytuacji ludzie skłonni byli się sobie zwierzać. Mieliśmy wspólnych znajomych, dlatego razem pojechaliliśmy, ale nie było powodu, by poza podaniem nazwisk coś o sobie opowiadać. Dopiero rozpoznawaliśmy, co wolno, a czego nie wolno robić w tej powstającej i jeszcze nie sformalizowanej opozycji.

W Radomiu poszliśmy na obiad do knajpy, takiej w stylu peerelowskim, porządnej, o nazwie „Europa” przy ul. Żeromskiego. Kto zna Radom, ten wie, że to jest jedna z głównych ulic miasta. Obsługiwała nas kelnerka. Tak już na zasadzie szansy losowej zagadnąłem ją, bez większych nadziei, o niedawne



Bogumił Studziński

wypadki. I to był strzał w dziesiątkę. Co wiedziała, a wiedziała całkiem sporo, to opowiedziała. Ale najważniejsze, że podała nazwisko i adres – Józef Szczepanik.

Józek mieszkał niedaleko od tego lokalu. Poszliśmy. No i tak kanał na Radom udrożnił się. Było już do kogo i po co jeździć. Dzięki Józkowi krąg osób, z którymi współpracowaliśmy, stale się poszerzał. Tym bardziej poszerzał się krąg osób, którym pomagaliśmy. Z Bogumiłem byłem w Radomiu jeszcze raz.

O tym, jak bardzo świetlaną był postacią dowiedziałem się dopiero w dwa, a może i trzy lata później. Pamiętam, że latem 1976 r. nie towarzyszyło mi jakieś poczucie początku wielkiej sprawy, a także skutecznie unikałem myśli o tym, co też takiego z tego zaangażowania może wynikać osobiście dla mnie. Te wyjazdy, to był imperatyw połączony z potrzebą rozwiązywania praktycznych problemów. A, żeby być skutecznym, warto było być dyskretnym. Bogumił najwyraźniej uważał tak samo.

Wspominał Mirosław Chojceki, notował Krzysiek Markuszewski

Przepraszam za cytaty

W Marcu '68 uczestniczyłem przez przypadek. Dzień wcześniej poszedłem do toalety na polonistycę, no i załatwiając małą potrzebę, wyczytałem na niewielkiej karteczce przebitkowej przylepionej do ściany, że 8 marca będzie wiec. Na ten wiec poszedłem jako widz, ale skoro „siły porządkowe” były nasze koleżanki, to włączyłem się czynnie. Potem byłem łącznikiem uniwersyteckim na politechnice. Tamtejsi studenci chcieli pochodem iść na uniwersytet, a przecież u nas, na uniwerku, mało kto wtedy był. Przemawiając w Auli, zniechęcałem do tego marszu, powołując się na zagrożenie wynikające ze starcia z „Góldzinowem”. To oczywiście była sensowna argumentacja, ale nie do końca szczera.

Potem mnie zamknęli. Wszystko razem trwało raptem trzy dni. Ze studenta niezaangażowanego politycznie przedzierzgałem się w aktywistę politycznego. Przedtem nie byłem komandosem, bo miałem całkiem inny życiorys. Mój tata, syn pułkownika kozackiego i Polki ożenił się też z arystokratką, ale polską – moją mamą. No ale była wojna – tata zginął w Powstaniu, mama straciła w nim zdrowie i odeszła kilka lat po wojnie. Wychowywały mnie ciotki, same cierpiące wielką biedę. Skończyłem technikum chemiczne, by mieć jakiś zawód. Skąd miałem wiedzieć, że czerwony pozwoli mi studiować?

Tak dosłownie nie miałem pieniędzy, że właściwie, jestem zbyt zażenowany, by opowiadać szczegóły. Szczęśliwie – dla niej i dla mnie – pewna in-

na ciotka wybrała wolność w Stanach i przejąłem po niej mieszkanie na Muranowie. Przynajmniej miałem gdzie mieszkać, a własne mieszkanie ciągle było rzadkim luksusem. Z góry nastawiony byłem na emigrację wewnętrzną – Polski nie chciałem opuszczać, ale smaku na karierę komunistyczną kompletnie nie miałem. W gronie moich przyjaciół była miedzy innymi Marzena – w przyszłości Kęćkowska. Środowiskowo byłem blisko z wydziedziczoną arystokracją. Wychowano mnie stereotypowo, byłem przekonany, że przestępca to jest ostatnie dno.

Dla moich nowych przyjaciół – komandosów areszt nie był aż takim szokiem poznawczym. Wielu z nich wychowało się w rodzinach komunistycznych, przed wojną przesładowanych. Zresztą słusznie, ale przepraszam za ten wtór. Jest on ważny o tyle, że wówczas też tak uważałem.

Zamknęli mnie w tym marcu, wrzucili na dółek i jakby zapomnieli. Gdy minęło czterdzieści osiem godzin, to pewien przestępca gospodarczy, czyli mówiąc po ludzku, człowiek przedsiębiorczy,awiado-mił mi, że mam sankcję. A ja nawet nie wiedziałem: co to jest ta sankcja? Bardzo brakowało wówczas późniejszego poradnika „Obywatel a Służba Bezpieczeństwa”...

W końcu wzięli mnie na przesłuchanie. Musiałem zakuty przejść przez korytarz Mostowa, a tam był dziki tłum normalnych ludzi skarżących się na przykład na kradzież roweru. To byli zwykli ludzie, którzy z zainteresowaniem patrzyli na mnie – kaj-

daniarza. Nie mam wątpliwości – uważali mnie za groźnego przestępcę. Było jasne, że nawet nie pomyśleli, że jestem polityczny, że siedzę za to, by wszystkim nam było lepiej. Byłem bliski płaczu. Autentycznie. Miałem poczucie, że cały ten wieloletni wysiłek, by nie dać się zdeklasować, wdeptać w błoto, poszedł na marne. Kto wie – może to była najgorsza chwila w moim życiu?

Pierwsze słowa oficera potwierdzały te obawy – zapewnił mnie, że nigdy nie ukończę studiów. Ten szok z korytarza jednak już minął. Skupiłem się na tym, by nie dać się zeszmacić. Nie gadałem z gośćmi, choć mniej z wyrachowania, a bardziej z pogardy.

Nie przypasaowałem im do układanki i po kilku dniach jednak mnie zwolnili. Byłem na ostatnim roku. Dyplom zdałem śpiewając, i przy wielkiej życzliwości pracowników naukowych.

Zaraz potem Marzena, a także Andrzej Czuma, powiedzieli mi o Ruchu. W nieco wisielczym nastroju, bo właśnie miałem się zenić, ale bez gadania – przystąpiłem. Mój plan życiowy poszerzył się. Teraz nadal chciałem przetrwać życie na tej emigracji wewnętrznej, ale już nie bez walki. Zdałem sobie sprawę z prostej prawdy – skoro jest wróg, to trzeba, jeśli się da, to rozsądnie, ale z nim walczyć. I że ten rozrządek nigdy nie może być tożsamy z dawananiem dupy komunistom. No tak – przepraszam za cytaty...

Wspominał Robert Terentiew notował Krzysiek Markuszewski

Konspiracyjna poczta we Wrocławiu 1982-89

Wśród wydawnictw bezdebitowych druki filatelistyczne (znaczki, stemple, koperty z nadrukami i kartki pocztowe), obok banknotów, mają najkrótszą historię. Zaliczane są do opozycyjnej galanterii, która początkowo miała tylko skromnie urozmaicać wydawniczą ofertę II obiegu. Z czasem konspiracyjna filatelistyka stała się znaczącym – najbarwniejszym – nurtem wśród wydawnictw bezdebitowych. Można ostrożnie przypuszczać, że w latach 1982-89 ukazało się kilkadziesiąt tysięcy walorów filatelistycznych sygnowanych przez opozycję. Prawdopodobnie pierwsze z nich – stemple – powstały w Sierpniu '80. Wytwarzali je między innymi pracownicy Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni. Pracownicy tego przedsiębiorstwa, biorący udział w trwającym wówczas strajku, kolportowali co najmniej kilka rodzajów odbitych stempli. Pierwsze znaczki ukazały się przypuszczalnie w lutym 1981 r. podczas strajku generalnego w województwie jeleniogórskim.

Konspiracyjna filatelistyka na dobre zaczęła się rozwijać po wprowadzeniu stanu wojennego za sprawą uwięzionych i internowanych działaczy opozycji. Mimo więziennych rygorów i bardzo skromnych środków wytworzyli oni – w co najmniej 8 więzieniach i 34 ośrodkach internowania – setki znaczków, stempli oraz kopert. Wielu z nich po odzyskaniu wolności zdobyte za kratami doświadczenia „znaczkowe” wykorzystало w konspiracji. To zaś w znaczącym stopniu przyczyniło się do rozprzestrzenienia się filatelistycznej zarazy wśród wydawców, kolporterów i nabywców druków bezdebitowych.

We Wrocławiu pierwsze wydawnictwa mające charakter filatelistyczny powstały prawdopodobnie w drugiej połowie 1982 r. w więzieniu przy ul. Kleczkowskiej. Wykonali je więźniowie polityczni, w większości osoby związane z NSZZ „Solidarność” lub Niezależnym Zrzeszeniem Studentów. Były to stemple ryte w linoleum, które odbijano na papierze, kopertach i pocztówkach. Pierwszy znaczek wydany w konspiracji we Wrocławiu ukazał się prawdopodobnie w pierwszej połowie 1983 r. Przedstawia postać św. Maksymiliana Kolbego i jest prawie wierną kopią waloru wydane go rok wcześniej w Obozie Internowanych w Grodkowie. Był on jednym z niewielu konspiracyjnych znaczków, który posiadał gumę. Podobną cechą wyróżnia się, wydana w tym samym czasie, seria portretów przywódców „Solidarności”: Władysława Frasyniuka, Karola Modzelewskiego i Lecha Wałęsy. Wszystkie sygnowane były przez Poczta Solidarność.

Także w 1983 r. swoje pierwsze walory wyemitowała Poczta Solidarności Walczącej. Była to m.in. seria dwóch znaczków, z których pierwszy przedstawiał portret Jana Pawła II, drugi zaś kardynała Stefana Wyszyńskiego. Cieszyły się one – przede wszystkim ze względu na swą urodę – bardzo dużą popularnością i do dziś publikowane są ich reprodukcje. W następnym roku ukazało się ponad czterdzieści znaczków, siedem

ofrankowanych kartek pocztowych oraz prawdopodobnie jedna koperta. Można przypuszczać, że w kolejnych latach liczby te były podobne – dokładne ustalenie jest bardzo trudne ponieważ na wielu znaczkach nie podano miejsca wydania.

Na sześciu wrocławskich znaczkach i jednej pocztówce z 1984 r. widnieje podobizna Józefa Pił-

nia „Solidarności”, o odzyskaniu w 1918 r. niepodległości, protestach społecznych w PRL oraz czterdziestoletnich rządach komunistów. Cześć z tych wątków wróciła na znaczkach, kopertach i pocztówkach w latach następnych. Ich wydawcy poruszali również tematy religijne – słynna stała się seria trzech patronów Polski, Litwy i Ukrainy. Na kilku blokach przedstawiono wota, jakie wierni złożyli w Duszpasterstwie Ludzi Pracy we Wrocławiu. Przypominano rocznice powstań narodowych, sylwetki przywódców Polskiego Państwa Podziemnego, informowano o martyrologii Polaków na terenie ZSRR – zwłaszcza o Katyniu. Specjalną serię poświęcono też sztandarom NSZZ „S” Region Dolny Śląsk.

Wydawcy kopert wykorzystywali też oficjalnie publikowane walory filatelistyczne. Była to m.in. seria znaczków – wydanych w 40. rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego – które po naklejeniu na zwykłe koperty stemplowano pieczętą Poczty Solidarności Walczącej i kierowano do kolportażu.

Pierwsze znaczki sygnowane przez Regionalny Komitet Strajkowy NSZZ „S” Dolny Śląsk ukazały się w 1984 r. RKS był obok Poczty Solidarności Walczącej najważniejszym wydawcą filatelistycznym we Wrocławiu. Swoje znaczki powieliły również m.in.: Inicjatywa Walki Czynnej, Rada Oświaty Niezależnej Regionu Dolny Śląsk, Tajna Komisja Zakładowa NSZZ „S” Agromet-Pilmet i Wydawnictwo WERS. Większość edytorów wołała jednak pozostać anonimowa i nie informowała o tym, że dany walor został przez nią wydany.

Podczas powielania wrocławskich wydawnictw filatelistycznych posługiwano się przede wszystkim sitodrukiem, wykorzystywano też offset, kilka razy sięgnięto po papier fotograficzny. Pierwsza z tych technik umożliwiała uzyskanie bardzo wysokiej jakości druku, wymagała jednak od osób posługujących się nią dużo wyższych umiejętności niż podczas druku czasopism czy też większości książek lub broszur.

Konspiracyjne druki filatelistyczne cieszyły się dużą popularnością nie tylko wśród osób związanych z opozycją. Zbierali je między innymi funkcjonariusze SB, którzy swoje zbiory tworzyli i powiększali o walory, jakie poza protokołem rekwirowali podczas rewizji mieszkań działaczy opozycji. We Wrocławiu w 1985 r. dwóch filatelistów będących żołnierzami zawodowymi skazano na karę więzienia (zawieszoną) i wydano z armii, ponieważ kupowali i kolekcjonowali podziemne walory filatelistyczne.

Dziś wiedza o konspiracyjnej poczcie i popularności jej druków są dużo mniejsze niż w latach 80. Brak profesjonalnych opracowań na ten temat. Polski Związek Filatelistów powołał w 1989 r. Nadzwyczajną Komisję ds. Poczty Podziemnej, lecz wyniki jej prac nie są szerzej znane... Sami filатели z konspiracyjnym rodowodem opracowali kilka cennych katalogów, ale nie obejmują one całego zagadnienia. A pamięć ludzka jest...

Szczepan Rudka



Znaczek powielany z pieczątki wrytej w linoleum przez więźniów politycznych w zakładzie karnym przy ul. Kleczkowskiej we Wrocławiu w 1982 r.

sudskiego. Lech Wałęsa w tym samym czasie cieszył się mniejszą popularnością w stolicy Dolnego Śląska, i jego podobiznę umieszczono na dwóch znaczkach, przy czym jeden był numerowany i po-



Jeden z kilku znaczków wydanych przez wydawnictwo WERS w 1989 r.

wielono go w ponad trzynastu kolorach. Nie zapomniano też o uwięzionych przywódcach dolnośląskiej „Solidarności” oraz ks. Jerzym Popieluszcze. Przypomniano też m.in. o czwartej rocznicy powsta-



Spełnione marzenia

Wydawnictwo „Przedświt” 1982-1989



Oni

W listopadzie 1984 roku zadzwonił do mnie Jasio Gogacz, umówił się, że wpadnie, wpadł i oznajmił, że chce wydać „ONYCH”. Rzucił nazwę wydawnictwa – „Przedświt”. Nie pamiętam, czy znałam to podziemne wydawnictwo. Chyba nie. Ale też nie miało to dla mnie większego znaczenia. Wystarczyło, że znałam Jasia.

O tym, że spotykam się z komunistami, rozmawiam z nimi i piszę książkę, wiedział każdy, kto chciał wiedzieć. W ogóle się z tym nie kryłam. Zresztą nie sposób byłoby to nawet ukryć. Chodziłam po mieszkaniach bardzo wielu byłych prominentów, wypytując ich o szczegóły historyczne, sprawdzając fakty, łapiąc anegdoty. O książce rozmawiałam z każdym, kto mógł pomóc w przybliżeniu mi tego pierwszego okresu Polski Ludowej. Nikt jednak w całości (poza Andrzejem Friszke, którego męczyłam z każdym tekstem) jej nie czytał. Dawałam tylko czasem przyjaciółom jakiś fragment rozmowy, żeby się upewnić, czy robię coś sensownego. A taśmy z nagraniami i gotowe rozmowy chowałam u Mamy. Kasety owinięte plastikiem upychała w torebkach z mąką, a gotowce zaszywała w materacach. Myślę, z perspektywy czasu, że moje pisanie „ONYCH”, stało się elementem życia towarzyskiego i tak naprawdę, po kilku latach niewiele osób wierzyło, że ta książka w końcu powstanie. Bo ja nie mogłam się z nią rozstać. Ciągłe czegoś mi w niej jeszcze brakowało. Że dłużej nie mogę z nią żyć, zdecydował Mieczysław Moczar. Poszłam do niego posłuchać, co ma do powiedzenia. Miał same okropieństwa. A ja zachowywałam się – jak zwykle przy pierwszej wizycie – grzecznie. I na dodatek wychodząc, gdy z żoną odprowadzali mnie do drzwi, powiedziałam zalotnie: ale z pana duży chłop. Jak mogłam powiedzieć mu komplement! Myślałam, że zwariuję.

Następnego dnia pobiegłam do Darka Fikusa: skończyłam – oświadczyłam. Zostawiłam mu do przeczytania maszynopis. Za dwa dni przyszedł odebrać. Darek był chory, leżał w łóżku. Ciekawe – rzekł. Przysiadłam się do niego na łóżku: – mów. Przyszła Magda, jego żona. Powiedziała: napisała pani bardzo dobrą i bardzo ważną książkę. Naprawdę? Naprawdę. To była pierwsza recenzja.

Zastanawiałam się w jakim wydawnictwie podziemnym ją wydrukować... Zjawił się Jasio. Znałam go od kilku lat. Był moim dobrym kolegą. Do Jasia miałam zaufanie. Zabrał książkę i potem kilkakrotnie przychodził, wnosząc redaktorskie uwagi. (...)

Napisałam mu oświadczenie, że przekazuję wydawnictwu „Przedświt” wyłączność na wydawanie „ONYCH” na terenie Polski. Przedrukowywał, kto chciał. Ile było wydań podziemnych, nie wiem. Co i rusz wpadają mi w ręce nowe. Ostatnio widziałam w twardej okładce. I dobrze. „ONYCH” pisałam w nadziei, że w twardym murze ówczesnej rzeczywistości wybije choć jedną cegłę. I do dzisiaj traktuję ją – powiem patetycznie – jako mój wkład w naszej walce o niepodległość.

Książka ukazała się na wiosnę 1985 roku. Ładna tekturowa okładka – z pomysłem, mały druk na szarym papierze. Mam kilkanaście przeróżnych wydań zagranicznych na kredowym papierze, z kolorowymi okładkami, ale po latach tylko ten egzemplarz wywołuje we mnie wzruszenie. „Przedświtowi” za to dziękuję.

Teresa Torńska



Przedświt

– Rysiek! Rysiek! Zejdź wreszcie do cholery po te książki, nie będę ci ich targał na górę!

Wyrzuciłam przez okno. Wacek z ogromną torbą stał pod moim oknem i gapił się w górę. Właśnie odprowadził córkę do przedszkola, do którego chodziła i moja Agnieszka i przy okazji przyniósł – jak to wtedy mówiliśmy – „bibułę”, wydaną przez „Przedświt”.

Tak. Były takie „w sumie śmieszne” momenty. Polska Jaruzelskiego, Wacek pewnie ledwie co wyszedł z więzienia, a tu stoi pod moim oknem z wielką torbą i krzyczy na całe osiedle. Do dziś nie wiem, co mu wtedy odbiło.

Co mogło być w tej torbie? Skoro nasze córki chodziły do przedszkola, to pewnie rzecz działa się gdzieś w połowie lat 80. Więc może to były wspomnienia Adama Bienia? Albo któryś z numerów „Kultury Niezależnej”, „Oni” Torńskiej, czy „Początek”? Szczypiorskiego?

Tych książek było tak wiele, a mój skromny związek z „Przedświtem” ograniczał się w zasadzie do kontak-

tów towarzyskich z jego twórcami, wydania w 1984 roku tomiku „Kilkaście wierszy” ze świetnymi rysunkami Łukasza Ługowskiego (Łukasz wybrał sobie pseudonim Junosza, a ja opublikowałam wiersze jako Marek Mayer) i wreszcie kolportowania książek i pism.

Tak naprawdę to nie wiem wiele o samym „Przedświcie”. Pamiętam jednak sam początek. Był rok 1982, brałem wtedy udział w pracach nad paroma pierwszymi numerami „Wezwania” i nagle okazało się, że Jarek Markiewicz wie, jak to „Wezwanie” wydać. I pamiętam to moje zdziwienie, że ktoś taki jak Jarek, człowiek tak subtelny, tak delikatny, tak wrażliwy, jest w stanie zająć się tak konkretną i przecież dość niebezpieczną działalnością. A potem Jarkowi i Wackowi z tego wydawania „Wezwania” zrobiło się wydawnictwo.

Potem okazało się, że z wydawnictwem współpracowały rozmaite osoby, które znałem, a których działalności najwyżej się domyślałem. Bałem się jak diabli – przynajmniej do jakiegoś 1987 roku – i wolałem za dużo nie wiedzieć. Do dziś żałuję, że pamiętam tak

mało nazwisk i adresów, pod które dostarczałem bibułę. Zostali mi w pamięci ci, z którymi kontakty miałem wcześniej i później – odwiedzałem z bibułą Geremków, pana Artura Międzyrzeckiego i panią Julię Hartwig, państwa Rymkiewiczów, Kazimierza Dżiewanowskiego, Antka Pawlaka i Piotra Bratkowskiego, Janka Strękowskiego i Ewę Nawój, Wiesława Bielińskiego, całe mnóstwo młodszych i starszych dziennikarzy, pisarzy, naukowców, moich przyjaciół i kolegów. No i oczywiście całą rodzinę swoją i żony. Ale tyłu, tyłu innych nazwisk i adresów już sobie nigdy nie przypomnę...

Tym wszystkim ludziom paskudnej epoki komunizmu jestem bardzo wdzięczny (a w tym kontekście szczególnie Jarkowi i Wackowi), że mogłem się z nimi spotykać. Na co niestety w dzisiejszych cudownych czasach kapitalizmu wszyscy tak mało mamy czasu...

No i jeszcze jedno chciałem napisać na koniec. Byłem wtedy u Jarka częstym gościem. „Przedświt” to był dla mnie nie tylko Wacek i Jarek. To była także Ela, „Promyk”. Tak cudowna, wspaniała osoba...

Tyle...

Ryszard Holzer

cd. ze str. 1

W ramach obozu opozycji współtworzył nurt możliwie apolityczny, nastawiony mniej na publicystykę i zagrzewanie do oporu społecznego, bardziej na książki o charakterze refleksyjnym, dla ambitnego czytelnika. Starano się wydawać literaturę zakazaną w PRL, ale też pozycje, które mogłyby ukazać się oficjalnie. Decydować miała wartość tekstu, a nie jego barwy ideowe.

Taki oryginalny, czasem niewolny od ekstrawagancji literackiej, profil wydawniczy był zasługą założycieli „Przedświtu”. Wydawnictwo uruchomił Wacław Holewiński i Jarosław Markiewicz. Pierwszy jeszcze przed sierpniem 1980 r. zdobywał doświadczenie drukarskie – najpierw w NOWEJ, a później w jej autonomicznej sekcji Niezależna Spółdzielnia Wydawnicza 1. Drugi jest artystą: uczestnikiem poetyckiej Nowej Fali, malarzem i wyznawcą buddyzmu. W różnych okresach pomagali im w tej pracy: Wiesław Bieliński, Elżbieta Błaszowska, Jerzy Brukwicki, Tomasz Dolecki, Krzysztof Freisler, Ewa Holewińska, Jerzy Ignatowski, Piotr Jankowski, Tomasz Kwiatkowski, Artur Łęga, Maria Ostrowska, Bogusław Porowski, Krzysztof Siemiński, Wojciech Szczygłowski. Niektórzy z nich to ludzie bardzo zasłużeńi dla idei wolnego słowa, jak choćby Ignatowski, inwalida poruszający się na wózku, który z wielkim zapamiętaniem i odwagą składał książki i udostępniał mieszkanie wydawnictwu: – Miał trabanta combi, inwalidzkiego. To był czasem nasz środek transportu – wspomina Ryszard Siemiński.

Lata stanu wojennego zaowocowały wielką liczbą nielegalnych publikacji. Wiele wydawnictw podziemnych miało jednak charakter doraźnych drukarni, bez zaplecza intelektualnego, nastawionych na przedruki. „Przedświtowi” udało się stworzyć własny program wydawniczy, przetrwać siedem lat w podziemiu, utrzymać dobre tempo produkcji (corocznie ponad 10, a w najlepszym 1984 r. – ponad 20 tytułów) i duże nakłady (średnio 2-3 tys. egzemplarzy). W dwa lata po powstaniu wydawnictwo było już postrzegane jako jedno z czołowych w Warszawie. – Stan faktyczny na dzień dzisiejszy (połowa 1984 r.) przypomina nieco sytuację z końca lat 70. Na rynku umocniły się duże firmy: CDN, Krag, NOWA i coraz bardziej prężny „Przedświt” – oceniał nieznany informator z kraju w liście do Jerzego Giedroycia. Oficyna zyskała również uznanie wśród ważnych postaci polskiej emigracji na Zachodzie. – Spis autorów i książek wydanych

Bez puenty

przez „Przedświt” jest naprawdę interesujący – wcale nie zdawałam sobie sprawy dotąd z rozmiarów i poziomu tego wydawnictwa – pisała z Londynu Lidia Ciołkoszowa do Józefa Lebenbauma w Szwecji. W połowie lat 80. do czołówki wydawnictw podziemnych zaliczali „Przedświt” również analitycy MSW z Zespołu Operacyjno-Sztabowego w sekretariacie szefa Służby Bezpieczeństwa.

W „Przedświcie” pracowało niewiele osób, jak na wielkość jego produkcji (ponad 130 pozycji do końca 1989 r.). Było to możliwe, gdyż w latach 80. druk książek coraz częściej potajemnie i „prywatnie” zamawiano w państwowych powielarniach. Przykład „Przedświtu” – wydawnictwa, które przez długi czas nie miało własnej poligrafii – bardzo dobitnie pokazuje znaczenie drugiego obiegu gospodarczego dla rozwoju ruchu wydawnictw podziemnych. – Wtedy w kraju była już taka sytuacja, że jakbym miał wystarczającą ilość pieniędzy, to mogłem wydrukować wszystko. Któregoś razu pojechałem do państwowej drukarni w zupełnie innej sprawie. Jako malarz drukowałem jakiś plakat na wystawę. To była sobota czy niedziela. Maszyny chodzą. Pytam się: „Co drukujecie?” Oni: „Pan jest artystą, to możemy panu powiedzieć – zwyczajną książeczkę do nabożeństwa. Trzeba jakoś zarobić.” Tłukli książeczki na biblijnym papierze – zupełnie nielegalnie. Pytam: „Czy czegoś innego by panowie nie zrobili?” Oni: „A o czym pan myśli?”. Mówię: „Jakiegoś jednego gotowca”. Oni: „Możemy pogadać” – relacjonuje Jarosław Markiewicz. Instytut Matki i Dziecka przy Kasprzaka, przedsiębiorstwo obrotu częściami wtórnymi w Alejach Ujazdowskich, a nawet drukarnia Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej na ul. Smolnej – to główne punkty na drukarskim szlaku „Przedświtu” i zarazem fragment mapy „podziemnej” Warszawy lat 80., którą warto by kiedyś zrekonstruować.

Niepostrzeżenie nielegalne wydawnictwo coraz mocniej wrosło w tkankę społeczną. Ludzie oswoili się z ich istnieniem. Gdy w tajemnicy wyносил książki z powielarni w Instytucie Matki i Dziecka na Kasprzaka, przez przypadek zawadziłem potężną torbą turystyczną o futrynę drzwi. Przeraziłem się, że wszystko się wyda. Portier uśmiechnął się i powiedział: – Dobrze, że bibuła się nie rozspalała – opowiada Bogusław Porowski. Powielanie tajnych druków przestało być zajęciem garstki niepoprawnych marzycieli, stawało się momentami aktywnością szerszych kręgów społecznych – bardziej przyziemną, mniej sztandarową. – Nasza intrologatorka pracowała w ZSMP. Była żoną dżokeja, który uciekł do Austrii i tam jeździł. Ona dostawała marne pieniądze w intrologatorni ZSMP. Pracowała dla nas, by

W pewnym momencie pojawiło się wydawnictwo, którego nazwa kojarzyła mi się z prasą socjalistyczną początku wieku, a znak firmowy „kogucik” ze znalezionymi na strychu opakowaniami po proszkach od bólu głowy. Mnie takie skojarzenia się podobały.

„Przedświt”, niosąc tyle nadziei w swojej nazwie, szedł jak burza. Książka za książką, brał na swoje barki wydawanie czasopism. Byłem w „Kręgu”, ale zaczęły nas nękać kłopoty, wpadki. Trzeba było ograniczyć ilość wydawanych książek. Wtedy przyjął je „Przedświt” i wydał, i są. Mam je do dziś na półkach, bo niestety w wolnej Polsce nikt ich nie wznowił.

Trzeba pamiętać, że „Przedświt” wydał książki ważne w tamtym czasie i ważne do dziś. Nie będę wymieniał wszystkich, ale te, które mam w najbliższej pamięci: „Onych” Torańskiej, pamiętniki Adama Bienia, zapiski Lidii Czukowskiej o Achmatowej, rozmowy Beresia z Konwickim, Czeskie rozmowy Lederera, „Dziady berlińskie” Henryka Wańka.

Jednym z szaleństw „Przedświtu” były bardzo starannie wydawane tomiki poetyckie (w obwolutach, z grafikami), czyli coś, czego unikały duże firmy podziemne. Mało tego, były to zbiorki tekstów oderwanych, można by sądzić, od rzeczywistości. To była ekstrawagancja, ale świadcząca o prawdziwej wolności. I tą określną drogą podkopująca system.

W „Przedświcie” ukazał się mój, właściwie debiutancki, tom wierszy. Nigdy wcześniej nie zdarzyło mi się tak szczególnie i ważne spotkanie z wydawcą-redaktorem. Jarek Markiewicz, poeta z pokolenia nieufnych, ale inny (i od rówieśników-pisarzy i nietypowy podziemny wydawca), malujący na swoich obrazach ciszę i głębię, jest człowiekiem głębokich doświadczeń duchowych i gdybym go zobaczył lewitującego nad dachami Krakowskiego Przedmieścia, a przy tym opowiadającego pikantne anegdoty, wcale bym się nie dziwił. (...)

Piotr Mitzner

Słowa i milczenie

W mojej pamięci, która ułomna i niepełna, wydawnictwo „Przedświt” powstało z rozpacz.

Nie można było wydać drugiego-trzeciego numeru „Wezwania”, pisma, które założyliśmy na mroźnym progu stanu wojennego.

Jarek Markiewicz był w redakcji, poznałem go na pierwszym naszym spotkaniu. Zdawał się człowiekiem nie z tego świata, żył w świecie literatury, szczególnie tej mistycznej, stan wojenny strącił go dosyć brutalnie w świat zasieków i godziny milicyjnej. Pamiętam, że gdy w czasie rozmowy padło nazwisko Solżenicyna, zapytał – „kto to?”. Stan wojenny miał jednak coś takiego, że budził do życia społecznego, najbardziej nawet apolityczne charaktery. (...)

Wtedy Jarek odsunął się nieco od redakcji, by stworzyć wydawnictwo, które zaradzi tej naszej niemożności. Trwało to długo i było bolesne, numer okazał się zresztą nieprzyzwoicie grubym, ale w końcu ukazał się. (...)

Spotykałem się często w sprawach wydawniczych, ale też przyjacielsko z Jarkiem i z jego miłą i dzielną żoną Elżbietą – jej wkład w wydawnictwo jest trudny do przecenienia, a cena jaką zapłaciła za stres, okazała się potem ostateczna.

To wszystko działo się na ostatnim piętrze wielkiej secesyjnej kamienicy, stojącej tuż obok uniwersytetu i górującej nad Teatrem Polskim, z pomnikiem Kopernika i z pałacem Staszica na zapleczu. Niezwykle, magiczne miejsce, gdzie pulsuje polska historia. Ta kamienica była wtedy bardzo zaniebana, dzięki temu pełna przedwojen-

nych zapachów, z tajemniczą windą, która otwierała się na dwie klatki schodowe. Były też dwa wejścia, jedno z mrocznego podwórka, więc ten gmach wydawał się wymarzony na konspirację.

Wydaliśmy w „Przedświcie” kilka książek, głównie tomy wierszy i reportaże, dokumentujących ów czas. Drukowaliśmy też w wydawnictwie kolejne numery „Wezwania”. (...)

Ale „Przedświt” też ciągle nas martwił i niepokoił. Miałem wrażenie, że za wiele w wydawnictwie dzieje się bez zachowania środków bezpieczeństwa, koniecznych w konspiracji. I że to wszystko musi skończyć się katastrofą.

W mieszkaniu odbywały się liczne prace wydawnicze, naświetlano blachy, leżały setki egzemplarzy podziemnych druków, przychodziły drukarze, kolporterzy... – więc każda nawet pobieżna rewizja, spowodowałaby dekonspirację.

Ostrzegałem, a to ja sam wkrótce spowodowałem katastrofę, która jednak nie nastąpiła.

Po roku ukrywania się, nagle odkryłem, że mam „ogon” (...). I zapewne już obarczony tym ogonem byłem w mieszkaniu Jarka, które zostało namierzone przez tajniaków.

A to ujawniło się w dzień czy w dwa po zatrzymaniu mnie. W samo południe zjawili się u Jarka moi aniołowie stróżowie. Otworzył im, zaspany, swoje oryginalne, niepokojące w wyglądzie drzwi z bocznym lusterkiem, dzięki któremu przez górna szybę widział kto idzie. Sam był w piżamie, zwykle chodził spać nad ranem a budził się po południu.

Powiedzieli, że przyszli po moje rzeczy, podejrzywali, że u niego mieszkam i postanowili go zaskoczyć.

„Starego Jastruna czy młodego?” – zapytał przytomnie Jarek (mój ojciec żył jeszcze wtedy). Po czym spełnił kilka buddyjskich rytuałów przed ołtarzykiem. Zdumiewające mieszkanie, zaspany gospodarz, ołtarzyk, jego zachowanie, wszystko to zrobiło duże wrażenie na funkcjonariuszach. Uznali, że mają do czynienia z szaleńcem i próżniakiem, więc poszli sobie, lekceważąc byle jak ukryte nielegalne druki i matryce.

Potem na przesłuchaniach, jeden z nich burknął – źle dzieje się w tym kraju, niektórzy śpią do dwunastej, wierzą w duchy, trzeba tu zrobić porządek. (...)

Jeszcze raz przywołuję w pamięci magiczność tego mieszkania na ostatnim piętrze secesyjnej kamienicy. Jego zapach, mroczne zakamarki, by przywołać smagłą i szczupłą postać Wacka Holewińskiego. Był współtwórcą „Przedświtu” i jego istotną, niezbędną częścią, ale jego spotykałem rzadziej. Mówił niewiele, minę miał zaciętą i zagadkową, może tłumił swój talent literacki, który rozwinął się dopiero po zwinięciu wydawnictwa.

To paradoks, że „Przedświt” stworzyli dwaj ludzie, jeden już znany literat i malarz Jarosław Markiewicz, oraz Wacek Holewiński, który artystycznie rozwinął się później. W każdym razie obaj poświęcili te lata, by drukować książki innych – milczeli więc, by inni mogli mówić.

Tomasz Jastrun

„Strzepy” na blachach

„Strzepy” zacząłem pisać wiosną 1980 roku. Teatr swój widziałem ogromny, a ambicje miałem chyba jeszcze większe. (...) Na szczęście akurat wtedy, kiedy skończyłem pisać pierwszy rozdział, zbuntowała się załoga Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego w Świdniku i siłą rzeczy zająć się trzeba było czymś zupełnie innym (...).

I tak trwało to aż do wprowadzenia stanu wojennego. Ile czasu na myślenie o jakiejś tam literaturze pozostawiało redagowanie regionalnego pisma „Solidarność” wiedzieć może tylko ten, kto to przeżył. Rankiem 13 grudnia 1981 roku wyszedłem z domu i jako mieszkaniec Świdnika – znowu siłą rzeczy – swoje kroki skierowałem właśnie do WSK. A skoro trwał tam strajk okupacyjny, zaś na terenie fabryki znajdowała się drukarnia... Z dzisiejszego punktu widzenia czytając głupotą było zamieszczanie w biuletynie, który powielaliśmy w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, stopki redakcyjnej z nazwiskami. W rezultacie po pacyfikacji tej twierdzy, w której zamknęło się kilka tysięcy gotowych na wszystko ludzi, wypadło mi ukrywać się przed SB.

I roboty, tym razem „podziemnej”, nadal mi nie brakowało. Aż do wakacji, kiedy to praktycznie wszyscy gdzieś się porożędzali, kontakty się rozluźniły, bieżąca działalność zamarła... Wtedy przypomniałem sobie o rozpoczętej dwa lata wcześniej powieści, poprosiłem o dostarczenie mi z domu tych bodajże dwudziestu paru stron rękopisu i „z marszu” napisałem ją do końca.

(...) Czasu wystarczyło mi jeszcze na przepisanie całości na maszynie. (...) Maszynopis „zadołowałem” w kilku miejscach, by – w sytuacji całkowitego zaabsorbowania, czarną, codzienną robotą – zupełnie o nim zapomnieć.

Minął rok, może trochę więcej... Któregoś dnia odwiedził mnie w pracy Staszek Królik – w swoim czasie przewodniczący Koła Młodych przy lubelskim oddziale ZLP, a potem współredaktor biuletynów „Solidarność”, i tego „przedwojennego”, i tego który robiliśmy w WSK. I zapytał, czy przypadkiem nie piszą czegoś „literackiego”. Niezrażony zaprzeczeniem tak długo mi marudził, aż przypomniałem sobie o powieści. A ponieważ jedną kopię maszynopisu miałem pod ręką w przepastnej (i niedostępnej dla bezpieki) głębi bibliotecznego magazynu, czym prędzej mu ją przyniosłem. I znowu o wszystkim zapomniałem.

(...) Aż tu któregoś dnia jeden z moich „kontaktów”, wspólny zresztą i Staszka, i mój znajomy, Andrzej Kaczyński, przy okazji rutynowego spotkania informuje mnie mimochodem, że „Strzepy” są już na blachach, ale do kolportażu wejść raczej dopiero po wakacjach.

Przyznaję, że było to dla mnie dużym zaskoczeniem. Szczerze mówiąc jawiło mi się jako coś niepojętego, że w sytuacji gdy „wszystko się sypie”, gdy – tak mi się wówczas wydawało, tak blisko jest zdławienia woli oporu społecznego co najmniej na kilka lat, komuś nadal się chce ryzykować wolność dla czegoś tak „niekoniecznego” jak literatura. Tym bardziej, że moja powieść nie dotykała przecież rzeczywistości stanu wojennego w sposób bezpośredni, a przeciwnie, prześycona symboliką uciekała od niej w stronę jakiejś niemal abstrakcyjnej, parabolicznej wizji.

I tym większy mam dziś szacunek i uznanie dla „Przedświtu”, że w momencie, kiedy papier był tak cenny, a odwaga tak droga, nie pozostawił literatury „na lepsze czasy”. (...)

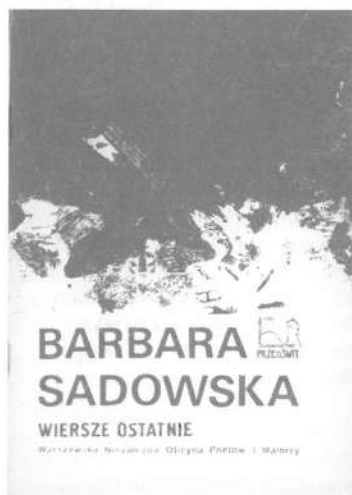
Cezary Listowski

Dwóch z Przedświtu

Karnawał „Solidarność” spowodował niebawem rozkwit wolnych wydawnictw. Obok pionierskiej „Nowej” (jednej z pierwszych i najbardziej prężnej) mocną pozycję zdobył „Krąg”, „Oficyna Literacka” i „Przedświt”. Przynajmniej dla mnie pozycje wydawane przez te firmy stanowiły często czytelną frajdę, wprowadzały do obiegu literaturę zakazaną przez cenzurę. Prężność tych nowo narodzonych wydawców, chodzi przecież nie tylko o druk, ale o kolportaż, rozprowadzanie, była zdumiewająca.

A zajmowali się tym często ludzie dotychczas znajdujący się z dala od życia zbiorowego, osobni, chimeryczni, intelektualści, którym impuls do konkretnego działania dał masowy ruch sprzeciwu przeciw dotychczasowemu porządkowi. Taką indywidualnością był Jarosław Markiewicz, wybitny poeta, mój wieloletni kolega ze związku pisarzy; wywodził często niezwykle cichym głosem o kwestiach skomplikowanych i egzotycznych, znawca i miłośnik sztuk wschodniej medytacji, buddyzmu, hinduizmu, nirwany, Karmy. On to wraz z Wacławem Holewińskim założył i prowadził firmę wydawniczą „Przedświt” Egzamin z ryzyka i innych trudności, choćby ubecko-milicyjnej inwigilacji, zdali ci dwaj wydawcy w stanie wojennym.

„Przedświt” nadal egzystował, wydając szereg poszerzających horyzonty wolności pozycji. Miałem przyjemność i zaszczyt, że chcieli oni wydać tomik moich miniatur prozą pt. „Rachunek”. W tytule już wystawiłem



rachunek krzywd i zbrodni dokonanych na społeczeństwie przez polsko-sowieckich komunistów. Zostałem więc jednym z autorów „Przedświtu” i nawiązałem ściślejsze więzi z wydawcami. Bywałem w szarej, odartej z tynku kamienicy na Obożnej, gdzie mieszkał Jarosław Markiewicz. Mieszkanie tajemnicze, labiryntowe, pełne

korytarzy, nisz, schodków, można było się tam zagubić, urządzone nader oryginalnie przez Jarka, było siedzibą firmy „Przedświt”. Tam spotykałem drugiego bossa wydawnictwa, Wacka Holewińskiego, który stanowił dynamiczne przeciwieństwo cichego, kameralnego Jarka. Znakomicie się dopełniali i „Przedświt” funkcjonował bez wpadki. Nie było to łatwe, podziemny ruch wydawniczy doprowadzał do furii bezpiekę; weszła i penetrowała środowisko niepokornych przez swoich kapusiów. Czasem u mnie na Długiej pojawiał się Wacek lub Jarek, przynosząc kolejną, ciepłą jeszcze książkę z drukarni. A sam przechodząc Krakowskim Przedmieściem, przystawałem przy Obożnej i myślałem sobie: „Pewnie znów coś drukują! Żeby nie wpadli!”

Dla Wacka zresztą niestrudzona aktywność w podziemiu skończyła się aresztowaniem i pobytem w więzieniu. Ale „Przedświt” trwał.

Teraz Jarek Markiewicz pisze i wydaje świetne wiersze, cenione wysoko przez krytyków i miłośników poezji. Znów osobny, skupiony, odległy od zgiełku. Natomiast Wacek Holewiński, prawnik z wykształcenia, został tymczasem prozaikiem, autorem kilku dobrych powieści z „Lamentem nad Babilonem” na czele. (...)

Marek Nowakowski

sobie dorobić do pensji. Małe mieszkanie, mnóstwo dzieci, ona się uwijała jak w ukropie. Gdy potrzebna była pomoc do przycinania, to ściagała znajomych. Połowa jej rodziny i kolegów przychodziła. Żadnej wpadki nie było, mimo że tego się nie dało ukryć – wspomina Wiesław Bieliński.

Praca w oficynie „bez adresu” nie była jednak ani łatwa ani bezpieczna. Każda konspiracja ma przed sobą niepewną przyszłość. Korzystanie z dojsz nie niwelowało ryzyka wpadki czy wręcz groźby wydania milicji przez skorumpowanych drukarzy. Papier i materiały poligraficzne nieraz zdobywano cudem. Osiągnięcie niezłej jakości technicznej, z czego słynął „Przedświt”, wymagało wiele determinacji. Po latach w pamięci jego współpracowników zachowały się m.in. wspomnienia ciężkich paczek z papierem, które trzeba było wynieść z drukarni i zapakować do samochodu. Towarzystwo temu napięcie nerwowe. Zderzani samochodów osobowych rzucaliby się w oczy patrolom milicyjnym. Zdarzały się też nagłe ewakuacje sprzętu, czasem mijanie się niemal o włos ze Służbą Bezpieczeństwa czy wreszcie zatrzymanie, rewizje, konfiskaty i więzienie. Kilka miesięcy w więzieniu spędzili Holewiński, Porowski i Dolecki. Firmie zarekwirowano m.in. trzy nakłady książek, samochód, gilotyne introligatorską i 10 ton papieru.

Dawno zatarły się już szlaki podziemnego kolportażu, a bez niego fenomen polskiego podziemia nie byłby w ogóle możliwy. Ta niewidoczna sieć powiązań czytelników z wydawnictwem była nieraz bardzo przemysłnie utkana. Mniejszej partii książek kolportowali niemal wszyscy związani z drugim obiegiem. Po pewnym czasie pojawili się wyspecjalizowani kolporterzy, np. filolog z wykształcenia Tomasz Dolecki w „Przedświcie”, rzadko związani tylko z jednym wydawnictwem. Tacy „hurtownicy” brali zwykle większą liczbę egzemplarzy naraz, zamieniając swoje lub cudze mieszkanie w prawdziwy magazyn bibuły. Mieli rozległe kontakty, mogli znacznie przyspieszyć obieg danego tytułu lub zwiększyć jego sprzedaż. W Warszawie, gdzie publikacji niezależnych było najwięcej, system kolportażu tworzył istny gąszcz. – Rozprowadzałem większość nakładu „Przedświtu”. Stworzyłem całą sieć, w której mieszałem, książki różnych wydawnictw. Miałem w najlepszym okresie 30 punktów. Każdego dnia targałem książki autobusami, większe paczki rozwiołem taksówkami. Nasze książki docierały także do fabryk, miałem sporo punktów robotniczych. Wieczorami zanosłem książki do człowieka z Huty Warszawa lub FSO, który był bardzo zmęczony, o godzinie 20.00 już szedł spać, bo wcześniej rano trzeba iść do pracy. Żona go budziła, by odebrać od niego książki. To było duże przeżycie – wspomina Dolecki.

Papier żółknie, farba blednie, rozpadają się prowizorycznie zszyte egzemplarze. Szata graficzna tych publikacji wygląda dziś zgoła nieatrakcyjnie. Mało kto jeszcze czyta te książki. Nielatwo więc wytłumaczyć ówczesną popularność wydawnictw niezależnych. Była ona silnie związana z czasami PRL i wraz z nimi odeszła. Książki były wówczas deficytowym dobrem kultury, ale także symbolem trwania opozycji. Czytaniu towarzyszyły inne niż dzisiaj emocje, skoro książka była rzadka, zabroniona lub wręcz mogła zostać zabrana. Z pewnością książki „Przedświtu” miały również swoich czytelników – pasjonatów i ciekawe życie społeczne. Były dalej powielane, pożyczane, ukrywane, konfiskowane, przemierzały nieraz kręte drogi, zanim dotarły do wyczekujących niecierpliwie odbiorców. Czy budowały również wspólne mity, proponowały bohaterów, dostarczały przygód? Do jakiego stopnia współkształtowały obraz epoki, myślenie o historii, wizje kultury? Bardzo mało wiemy o tym niewymiernym aspekcie ruchu wydawnictw niezależnych, a z punktu widzenia badacza jest to bardzo ważna część historii.

Paweł Sowiński

Nakładem Wydawnictwa Przedświt w latach 1982 – 1989 ukazały się:

Anonim (Krzysztof Karasek) – Sceny z Grottgiera (1984) Warszawska Niezależna Oficyna Poetów i Malarzy
Władysław Bartoszewski – Syndykat Zbrodni (1989)
Adam Bień – Bóg jest wyżej, dom jest dalej (1986)
Tadeusz Bór-Komorowski – Armia Podziemna (t.1, t.2) (1988)
Jan Brzoza (Bohdan Skaradziński) – Polski Rok 1919 (1987)
Krzysztof Czabański – ABC (1985)
Lidia Cukowska – Zapiski o Annie Achmatowej (1989)
Marek Czuku – W naszym azylu (1989) Warszawska Niezależna Oficyna Poetów i Malarzy
Norman Davies – Boże igrzysko (1987, tłum Anna Ponarska (Anna-Zukowska-Maziarska) i Józef Piwko (Jacek Maziarski); wstęp: Jerzy Holzer)
Norman Davies – Biały Orzeł – Czerwona Gwiazda. Wojna polsko-sowietcka 1919 – 1920 (1988, przedmowa A. J. P. Taylor, tłum. Urszula Karpińska)
Stanisław Esden-Tempski – Między sierpniem a młotem (1988)
Stanisław Esden-Tempski – Organy Rosji pracują nocą (1984) Warszawska Niezależna Oficyna Poetów i Malarzy
Władysław Gancewicz – Człowiek nr 102078 (1984)
Józef Garliński – Politycy i żołnierze (1986)

Wspomnienia, notatki i uwagi z lat 1982-89

„Przedświt” to jednak było dziwne wydawnictwo, jak się dzisiaj okazuje, założone i wypracowane końską siłą dwóch pisarzy (jeden był wtedy całkowicie in spe, jednak nasza głębsza przyjaźń zrodziła się na gruncie literackim, Wacek był odcytany, to za mało powiedziane, Wacek umiał żyć literaturą, podobnie Słoń, podobnie Tomek Burski z Wezwania...), Wacek był oblatany w podziemiu, przed 80. rokiem praktykował w NOWEJ, ja przyzwyczajony byłem do konspiracyj od dziecka.

Ludzie konspiracyj, chyba dlatego, że się mniej od innych bali, mieli w sobie coś z awanturników, łatwo im było nadebrać na honor, często wybuchali. Ta awanturniczność i brawurowość pomagała im przetrwać. Wielu było notorycznych kozaków, sporo kozaków alkoholowych.

Rysiek (drukarnia z Woli) jechał do roboty o siódmej rano, drukarnia była w szpitalu, zaczynał pracę o ósmej, a jeszcze był wstawiony z nocy, wioził w siatce blachy, robiłem je przez całą noc w wannie i podrzuciłem na przystanek, R. wysiadł i dopiero przy budce z piwem spostrzegł, że blachy pojechały dalej. Złapała go alkoholowa paranoja, że tam są jego odciski palców. Zamiast iść do pracy, z Wojtkiem wpadli do mnie, wyrwali ze snu, pojechaliśmy szukać tramwaju, którym jechał tamten. Znaleźliśmy. Ktoś motorniczemu podał siatkę. Taka to była konspira.

Zdarzenie miało i swoją dobrą stronę. Wojtek zaprzyjaźnił się z motorniczym, umówił wieczorem na wódkę, okazało się, że motorniczy był zwolennikiem KPN-u, dobry był i KPN. Później spotkałem się z motorniczym przy pośpiesznie pędzonej nalewce, został naszym kurierem i wozził paczki z wydrukami, pakowane były w walizki, na umówionym przystanku wynosił walizki. Spotkanie z motorniczym odbywało się na Żoliborzu, z tego przystanku widać było restaurację Balaton. Mieszkał tam Zegarmistrz, złota rączka, oprócz antycznych zegarów naprawiał instrumenty muzyczne, a nam dorabiał części do offsetów, składał książki, stary kawaler, 1 sierpnia 44 jako czterolatek był z mamą na wczasach w Józefowie, a ojciec po tej stronie Wisły, przeżył powstanie, poszedł do niewoli, z Niemcami wyjechał do Australii. To był problem Zegarmistrza, jak się upijał mówił, że ma ojca kangura. Ten ból dzie-

ciństwa nie pozwolił mu dorosnąć, ciągle był w dziwny sposób dzieckiem.

Rodzice Wojtka Szczygłowicza zginęli w Powstaniu. Wojtek mieszkał na Ludnej, wtedy pracował w FSO, wsławił się tym, że kiedyś przyszła do niego esbecja na rewizję, po mieszkaniu przyszła kolej na piwnicę, w piwnicy Wojtek miał warsztat samochodowy, gdzie nieustannie naprawiał swojego Willisa, kiedy wszyscy funkcjonariusze weszli do piwnicy, Wojtek wyszedł, zamknął drzwi i pojechał mieszkać na Wolę. Esbecy siedzieli tam przez kilka godzin.

Ślub Ewy i Wacka, zabieramy do Simki cywilnego księdza z łańcuchem w sam raz do więzienia, teść Wacka sam w sobie grubawy zrobił się ze dwa razy grubszy od piersiówek z wódką i koniakami, mądry człowiek, od razu dwie przeznaczył na straty w bramie, ja trzymam oficjalnie za tę butelkę szampana, pobierają się oczywiście na serio, Ewa ma wielkie zakochane oczy, Wacek strzyże wąsikami, ale ta ceremonia ma też inne cele, jest przyjęcie weselne w świetlicy Białoleki, jest sękacz, tort, ryby, mięsa i sałatki dla wegetarian, alkohol z piersiówek, teść chudnie w oczach, strażnicy też coś dostają, istnieje teoretyczna możliwość podsłuchu, ale gwar potężny, żywiołowy, dostają od Wacka namiary na braci W. (Wacek twierdzi, że było inaczej), drukarzy, kontakt przez poprzednią żonę Wacka, Ułę, idzie o wydrukowanie „Wezwania”.

Wczesną wiosną 82 roku była do „wzięcia” maszyna offsetowa, drukująca ok. 10 tys. na godzinę formatu B3, prawdziwa czeska fabryka, nie było transportu, dwaj bracia, których nie wspomnę, „załatwiło” transport do „prześciółki”, jednak był szkopol, właścicielowi samochodu transportowego z mocnymi „reżimowymi” papierami potrzebne było koniecznie zaświadczenie od biskupa, że jest porządnym człowiekiem, bo miał słabość do biskupa, a wyobrażał sobie, że wcześniej czy później będą komuchów wieszać, że zaświadczenie od biskupa go zbawi. Mój wewnętrzny spryciarz potrafił czasami stanąć na głowie, wytłumaczyłem pośredniczącemu chłopakom, że biskup powiedział, że nie może bezpośrednio, boby się do niego dobrali, ale że stosowne pismo od biskupa (gdyby doszło do wieszania) będzie do odebrania w redakcji podziemnego pisma, przy tym uszło uwagę potrzebującego, że pismo jest

ukryte, redakcja nie ma adresu itp., maszyna została przewieziona, lecz „biskup” nie miał dobrej ręki, po roku bezczynności trzeba było offset oddać komuś, kto akurat miał transport, była to tzw. oświatówka, kontakt przez Wojtka Eichelbergera.

Offset ukryty był w piwnicy specjalnie do tego celu zbudowanej pod domkiem rekreacyjnym dziarskiego wciąż AKowca, teścia Marka Porębowicza, Stanisława Koźmińskiego, który uratował wielu Żydów z Anina i okolic.

Miałem poczucie anachroniczności, idioci i zdrajcy, z obawy o własne życie, a strach ich był wielki! „cofnęli zegar historii” i zanurzyli nas jeszcze głębiej w „życiu na niby”.

W 1986 na jesieni lub na wiosnę 87 pojechaliśmy za Sandomierz do Adama Bienia, żeby zapisać na wideo jego opowieść z procesu 16, odpowiadał na nasze pytania, ale też zadawał pytania – czy wystarczająco dobrze dbamy w sensie konspiracyjnym i bytowym o nasze „trusty mózgów”, bo on wyobrażał sobie, że konspiracja hodzi w tajnych pieczarkarniach idealne pieczarki, zespoły projektowawczo-badawcze, jakie istniały w konspiracji 1939-45, były to zespoły partyjne, ale na czas walki nie żarły się między sobą, razem pracowały dla przyszłości, choć często nie wiedziały o swym istnieniu.

Wtedy uświadomiłem sobie, nie pierwszy raz, jakieś duchowe ubóstwo pokolenia, które owszem rozpoznało swoje istnienie w „na-nibości”, ale nazwało je „nieprzedstawionym” – czyli „przedstawienie” było zbawieniem, rozpoznanie miało spowodować, że koszmarny na-nibości pierzchnął jak dziewczica zobaczona w kąpiel.

Ale nie pierzchnęły, raczej się rozpierzchnęły i ukryły, najpierw w nas samych, a także w różnych cieniach, a później w cieniasach.

K. Wyka pisał: Okupacja to taka sekta, której członkowie posiadają nieporównywalną przewagę liczebną nad kapłanami...

W podziemiu została opublikowana księga tajnych protokołów ambasadorów USA, W. Brytanii i Francji, byli to umówieni w Poczdamie strażnicy demokratycznych wyborów w Polsce. I ci strażnicy jeden po drugim donosili swoim rządowi o setkach zabitych PSŁowców, o zastraszaniu, o fałszowaniu wyborów.

Rządy naszych aliantów ukryły raporty – i uznały te wybory.

Wyobrażałem więc sobie, że kiedy wreszcie odzyskamy niepodległość, wrócimy do tego, że naród nie miał swojego państwa, że machlojki na samej górze spowodowały totalny mrok na dole, nie mówiąc o ciemności we łbach.

Skoro nie było państwa polskiego, to odrodzone państwo polskie np. powinno – nie za karę – ale prawnie odciąć się od długów zaciąganych przez Gierka i towarzyszy (często dla dobra ZSRR). Zachód, jak się zdaje, był na taką możliwość przygotowany.

Jednak przy Okrągłym Stole, a może bardziej pod stołem, zadekretowano ciągłość państwa, z wszystkimi konsekwencjami. Michnik dla wytłumaczenia sobie własnych lęków psyche, musiał uznać Jaruzelskiego i Kiszczaka za „ludzi honoru”.

Taki obrót sprawy i totalne zubożenie wielu warstw społecznych, spowodowały, że byli opozycjoniści przy władzy byli bezsilni, co doprowadziło do rządów SLD, czyli potwórki z rozrywki. Są poważne powody, aby uważać uwłaszczenia za kolejną akcję „Żelazo”. Jednak nie od rewizji i roszczeń należy zaczynać odnowę. (...)

Mietek Porowski (jego brat Bogusław pracował z nami i miał liczne przygody, o tym przy innej okazji) pracował w drukarni szpitala na Płockiej, drukował mało, bo nie mógł „organizować” papieru, a na naszym nie bardzo mu się opłacało, bo większość forsy szła przez nerki, a nie był już tak bardzo młody, często był nieprzytomny z kaca. Węc dał mi kontakt na tajemniczego drukarza, który pracował gdzieś w Pruszkowie, a mieszkał w Kobyłce i przesiadał się na Ochocie z WDK na średnicową, miał zawsze z sobą co najmniej dwie torby b. dobrze zadrutowane. Delikatnie odbierałem z tego wahadła, składki wiozłem na Puławską, gdzie pewna sprzątaczką z KC ZMS z dwójkiem małych dzieci, porzuconą przez męża, układała książkę, kleiła i obcinała na gilotynie.

Trwało to z miesiąc, codziennie wieczorem odbierałem składki, dawałem nowe blachy, płaciłem, umawiałem się na następny raz.

Zbyt duże mniemanie o pracy SB. A oni nie lubili się przepracowywać. Oni już wtedy kręcili różne lody. Moja wpadka w słynnym 1984, i w tłusty czwartek. Wpadłem w nieoficjalnej podziemnej drukarni, dwa romajory, linia introligatorska, mieściła się

w obórze czy szopce. Prowadził ją były esbek, który pracował w NIK-u, za bił kogoś samochodem po pijanemu – resort go nie wybronił. Pił dalej, dalej jeździł po pijanemu. Zorientował się, że na niektórych drukach można nieźle zarobić. I drukował ogromne ilości np. kalendarza tzw. orwellowskiego z ilustracjami Jana Lebensteina. To wiem na pewno, bo na Rakowieckiej usiłowali mi to wcisnąć jako moje. Oczywiście nie wiem do końca, czy robili ten kalendarz na blachach, które inni esbecy złapali w NOWej, czy mieli własną przygotowalnię, maszyn były dobre, wszyscy pracowali na lewiznie, dzisiaj to szara strefa, na pograniczu podziemia.

Jak tylko wszedłem do celi, a było po trzeciej nad ranem, zaatakowały dwa wściekłe zapachy – czosnku i gówna.

Wszyscy się obudzili i zaczęli się dopytywać:



DZIADY BERLIŃSKIE

– Gdzie cię złapali?

– W Tworach – odpowiedziałem prostodusznie.

Na 10 metrach kwadratowych siedział nas siedmiu. Węc oni się zbili w kupkę na jednym końcu celi, a ja jako urządziłem się w drugim końcu na podłodze. Kibel stał pośrodku. I była to najważniejsza Osoba w tym gronie. On tu był wodzem. I wprowadzał obyczajne wodzów egzotycznych plemion. Obcowanie z wodzem było obłożone ścisłym rytuałem. Członek plemienia zanim podchodził do Jego Wysokości, szczeakał krótko:

– Nie szamać!

Teraz podchodził do fajansu i kłaniał mu się głęboko, a potem go dłu-

go iskał. Zdejmował jakieś odrobiny kurzu, chociaż tego nie było widać na lśniącej bieli porcelanowej polewy. Wtedy dopiero otwierał rozporek lub spuszczał spodnie. Później używał wody specjalnym przyciskiem. Kłaniał się pożegnalnie i znowu delikatnie iskał kibelek.

Rozlegało się jeszcze odwołanie poprzedniego zakazu.

– Można szamać!

I wszystko wracało do normy.

Ten kibel-osoba nie dawał mi spokoju. Na przesłuchaniu mówiłem tylko o nim.

– Ten kibel to gorsze niż Auschwitz, do Międzynarodowego Trybunału w sprawie godności ludzkiej... i Kościół też powinien o tym wiedzieć, to bałwochwalstwo... Do czego w końcu doprowadziła komuna... Religia kłaba...

– Złapaliśmy was w Tworach. Może to nie był przypadek – odcinał się przesłuchujący.

Wyka pisze w nocy hitlerowskiej okupacji – „Wiadomo, że nie tak nie boli przeciętnego Polaka, jak to, że dał się nabrać, wykiwać, słowem, chytrącią nie stał na wysokości przeciwnika.”

W celi spotkałem introligatora z drukarni, w której mnie złapano, był bardzo zdziwiony, że jak się okazało, pracował w nielegalnej drukarni. Drzwi celi otwierają się, staje w nich klawisz – szóstka z rzeczami, do domu.

– A czy obiad mi się jeszcze należy? – pyta introligator. – Należy się – mówi klawisz. – To ja jeszcze posiedzę, wyjdę po obiedzie.

Wieżenie jest klasztorem specjalnego rygoru, wiedział o tym London, gdzie spotyka się tylko archetypowe postaci – czy zdarzyło mi się spotkać Sokratesa?

I tu kończą się moje zabawne wspomnienia. Zwolnili mnie z aresztu, oddali rzeczy, także 20-litrowy kanister z benzyną. Dźwigałem go do domu przez Ogród Saski. Byłem w domu. W dwie, trzy godziny później żona, Elżbieta (zwana Promykiem) po trzydobowym stresie – dostała wylewu krwi do mózgu, pogotowie, trepanacja czaszki, kilka miesięcy w szpitalu, trwały niedowład nogi. A szesnaście lat później – następny wylew, pokłósie pierwszego, dwumiesięczna coma i śmierć.

Nasz syn, Jeremiasz, miał wtedy sześć lat.

Nie odczuwałem strachu, kiedy wioziłem książki, druki, papier, blachy

Wojciech Gieżyński – Budowanie Niepodległej (1985)

Zbigniew Gluza – Epizod

(1987)

Martin Harnicek – Mięso

(1984, tłum. Janusz Anderman, II wyd. 1989)

Krystyna Jagielto

– Jeszcze jeden mazur dzisiaj (1987)

Tomasz Jastrun – Czas pamięci i zapomnienia (1985) Warszawska Niezależna Oficyna Poetów i Malarzy

Tomasz Jastrun – Na skrzyżowaniu Azji i Europy (1983) Warszawska Niezależna Oficyna Poetów i Malarzy

Tomasz Jastrun – Zapiski z błędnego koła (1983)

Jerzy Jochimek – Za kręgiem

(1987, postowie Józef Hanryk Wiśniewski)

Pavel Kohout – Degrengolada

(1988, tłum. Andrzej S. Jagodziński)

Leszek Kołakowski – Kłopoty z Polską (1983)

Sandor Kopacsi – W imieniu klasy robotniczej (1988, przekł. z francuskiego Waldemar Maj (W.M.))

Anka Kowalska – Racja stanu

(1985, litografie Barbary Zbrożyny)

Warszawska Niezależna Oficyna Poetów i Malarzy

Ryszard Krynicki – Jeżeli w jakimś kraju (1983) Warszawska Niezależna

Oficyna Poetów i Malarzy

Ryszard Krynicki – Niewiele więcej i nowe wiersze (1984, 39 s.) War-

szawska Niezależna Oficyna Poetów i Malarzy

Milan Kundera – Księga śmiechu i zapomnienia (1984, tłum. Paweł

Heartman (Piotr Godlewski) i Beata Rój-Porubska (Andrzej S. Jagodziński), oprac. okładki i strony tytułowe: J.)

Józef Kuśmerek

– Consensus tak, ale... (1986)

Józef Kuśmerek – Credo (1983)

Józef Kuśmerek – Polska a Zachód

czyli oczekiwanie pomocy (1983)

Jiri Lederer – Czeskie rozmowy

(1987, tłum. Adam Rajski (Joanna Goszczyńska) i Halina Kuligowska

(Kalina Śniegocka))

Ewa Lipska – Przechowalnia ciemności

(1985) Warszawska Niezależna Ofi-

cyna Poetów i Malarzy

Cezary Listowski – Strzępy

(1984, na str. tytułowej rys. Andrzeja

Kraski)

Jan Lityński – Solidarność – proble-

my, znaki zapytania

(1984)

Maciej Łopiński, Marian Moskit (Zbi-

gniew Gach), Mariusz Wilk – Kon-

spira (1984)

Jerzy Malewski (Włodzimierz Bolecki) – Widziałem wolność w War-

szawie (1984)

Marek Mayer (Ryszard Holzer) – Kil-

kanaście wierszy

(1984) Warszawska Niezależna Ofi-

cyna Poetów i Malarzy

Piotr Miltner – Podróż do ruchomego

celu (1985) Warszawska Nieza-

leżna Oficyna Poetów i Malarzy

Leszek Moczulski, Romuald Szeremietiew – Ostatnie słowo wygłoszone w Okręgowym Sądzie Województwa w Warszawie (1983)
 Michał Moszkowicz – Nekrolog (1989)
 Grzegorz Musiał – Listy do brata (1983) Warszawska Niezależna Oficyna Poetów i Malarzy
 Jakub Nadbystrycki (Wacław Oszejca) – List ze strajku (1983) Warszawska Niezależna Oficyna Poetów i Malarzy
 Marek Nowakowski – Rachunek (1984) Warszawska Niezależna Oficyna Poetów i Malarzy
 Jan Nowak (Zdzisław Jeziorański) – Wojna w eterze (1986)
 Stanisław Nowicki (Stanisław Beres) – Pół wieku czyścica (1986)
 Tadeusz Nyczek – Powiedz tylko słowo (1985)

etc. Owszem stosowałem różne triki, ze złamanym kluczykiem do bagażnika, wozilem w samochodzie kilka obrazów, które zasłaniały paczki, innym razem kilka główek kapusty, dynie lub inne nie brudzące siedzeń warzywa. Ważny był towar, ja czułem się dziwnie bezpieczny i kuloodporny.

Jednak bałem się, kiedy kradliśmy czeski offset z piwnicy na Wilczej. Instrument był diabło ciężki, Stoń i Boguś w niebieskawych mundurkach tragarzy, nie pamiętam roli Wacka, który też tam był wtedy, moja rola była rolą kierownika, który gdyby ktoś szedł, miał głośno opieprzać tragarzy, że nierówno niosą, miałem przygotowaną odpowiednią nawijkę, którą wyćwiczylem przed lustrem, wg Stanisławskego. Akcja zmieniła scenariusz, z gderaniem starej baby dźwigaw-

mnie pod domem Jurka Ignatowskiego, nie jestem na luzie, Promyk w mieszkaniu odległym 30 metrów coś miała składać, umówiliśmy się, że w godzinę po zapowiedzianym powrocie, gdybym nie wrócił, Promyk szybko robi porządki, ale jest przecież zupełnie subiektywne odczucie czasu.

Między tymi esbekami, jeden jadł coś z czosnkiem, drugi pachniał perfumami jak radziecka kolchoźnica, próbowałem oddalić się w praktykę szikan tadze pod przymkniętymi trochę powiekami, ale wypadałem raz po raz.

Esbek częstuje mnie papierosem. Dziękuję. – Od ubeka pan nie bierze – powiada esbek. Acha, tu cię mam. esbek wzdycha i mówi coś o polskiej racji stanu, z czego ma wynikać, że on sercem jest ze mną, ale rozum mu nie pozwala. Wtedy powiedziałem nim pomyślałem, pan to raczej służy sowieckiej racji stanu. Ten po prawej za jeżdżącymi czosnkiem ani drgnął, jak głuchoniemy, głupawy lub świetnie wyćwiczony. A tego perfumowanego przygięło, wyglądał na byłego moczawca, ich chowano na patriotycznej zupce.

– A był pan u tych, którym pan służy, widział pan jak tam jest?

– Co by nie powiedzieć, to potęgą, atomową. – A pan tam był? – dopytywał esbek.

– Dwa razy.

– I wie pan co, połowa rosyjskich czołgów to tylko atrapy, z tektury, żeby straszyć Amerykanów.

Jurek Ignatowski zaczął pracować dla „Przedświtu” przez pośrednictwo Krzysztofa Siemieńskiego, pracował z wielkim zapałem, był pomysłowy w konstruowaniu narzędzi introligatorskich i bardzo wymagający, żeby wszystko było na czas, lubił mieć zapas naostrzonych noży do gilotyny, którą przystosował do braku nóg, z czasem zaprzyjaźnił się z Wojtkiem Szczygłem – Szczygłowiczem i wymuszał na nim, jako na drukarzu, lepszą jakość wydruków – i o dziwo, Wojtek w pewnym sensie słuchał się go. Rzecz w tym, że Jurek żyjąc z tyłkiem przy podłodze, albo inaczej mówiąc będąc mocno uziemionym – miał tajemniczą władzę nad ludźmi.

Rzadko używał w naszych sprawach swego przerobionego trabanta, opowiadał o swoich przygodach z esbecją, kiedy jeździł dla NOWej, do komuny miał stosunek bardzo osobisty, nienawidził jej jak mi się zdawało cokolwiek bałwochwalczo, był zawiedziony Okrągłym Stołem i tym, że draniom się upiekło.

Wyprawy po papier, bo papier był głównym naszym zmartwieniem, do Grodziska Maz., Lublina, Wacek miał tam jakieś kontakty, Kazimierzówka, pod Pułusk do jakiego rzemieślnika, Raszyn, Kołbiel na trasie do Lublina, wszyscy moi krewni i znajomi kupowali po ryzie, dwie gdzieś na prowincji, nieraz więc otrzymywałem wiadomość, że mają dużo papieru, jechałem 200 km, przywoziłem kilka ryz.

Bolek Rok i Krzysz Lewandowski prowadzili buddyjskie wydawnictwo Pusty Obłok, miałem od nich zaświadczenie na przewóz papieru

Samochody, bo bez nich nic nie można było zrobić – zaczynaliśmy z moją niebieską Simcą, później Krzysz Freisler wymieniał ją w Berlinie Zach. na młodszą, czerwoną, jeździł nią Wacek, zatarła się, kiedy wracaliśmy z Krasicyzna k. Przemyśla.

Wacek jeździł kremowym dużym fiattem, nie wiem co się z nim stało po jego wpadce.

Białą mercedes 115, kupiliśmy go w Reszlu za pośrednictwem Bolka Roka, zarekwirowany w 1988, po mojej drugiej wpadce. Wtedy jeździłem maluchem, wyjeżdżaliśmy przedni prawy fotel. W 1988-89 Wacek kupił rozbitego Forda, ja niebawem używanego volkswagena. Przedtem jednak jeździłem niezwykłą kombinacją – nazywałem go ribbentrop-mołotow – do czarnej wołgi z trudem włożyliśmy silnik 300 diesel od mercedesa, a ponieważ skrzynia biegów była od wołgi, na tył założyłem koła 17-calowe od nysy, dzięki temu miał niezłe osiągi.

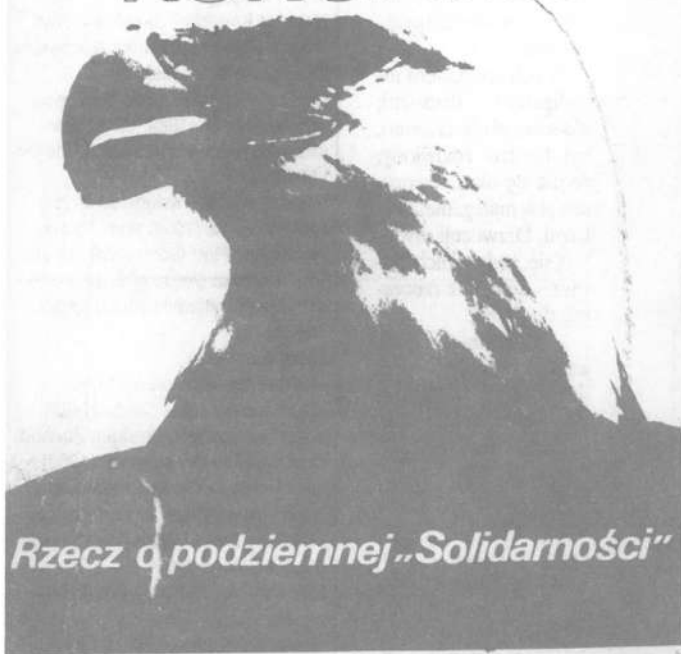
Od Mariana Kalety albo od Mirka Chojckiego dostaliśmy sporo kartek na paliwo, tamtejsi drukarze jednak niedokładnie dobrali kolor pomarańczowy, można ich było zatem używać tylko po zmierzchu, przy sztucznym świetle były idealne. (...)

Jarosław Markiewicz

Maciej Łopiński, Marcin Moskit
 Mariusz Wilk



KONSPIRA



Kazimierz Orłoś – Przechowalnia (1985)
 Zyta Orszyn – Madam Frankensztajn (1984)
 Antoni Pawlak – Zmierzch i grypsy (1984) Warszawska Niezależna Oficyna Poetów i Malarzy
 Antoni Pawlak, Marian Terlecki – Każdy z was jest Wałęsą (1984)
 Stanisław Piekut – Pod krwawym niebem. Z Polski do Rosji Stalina (1986)
 Kazimierz Podlaski (Bohdan Skaradziński) – Białorusini-Litwini-Ukraińcy. Nasi wrogowie – czy bracia? (1984)
 Grzegorz Przemys – Syn a może sen (1986) Warszawska Niezależna Oficyna Poetów i Malarzy

łem offset, bo wysiłek podniósł mi głos. Wreszcie offset był w samochodzie, który solidnie przysiadł, obłożyłem go obrazami, tragarze się ulotnili i ruszyliśmy z Wackiem. Ukryliśmy się za skarpą na Dynasach i wtedy poczułem, jak rozpręża się we mnie adrenalina. Było to prawdziwe zdobycie skarbu, który został wyrwany ze skarbownicy mołocha. Swoją drogą – nie udało się tej maszyny uruchomić.

1988 rok, podobnie jak za pierwszym aresztowaniem, tłusty czwartek, rok przestępny, siedzę w kajdankach na tylnym siedzeniu dużego fiata między dwoma esbekami tuż pod domem, na parkingu na którym zwykle parkowałem, godzinę temu zgarnęli

kwiecień '85
kultura
NIEZALEŻNA

8



Pięć minut

Moja przygoda z „Przedświtem” zaczęła się na początku września 1983 roku od przypadkowego spotkania na ulicy Chmielnej (wówczas Rutkowskiego) z Wackiem Holewińskim.

Miesiąc wcześniej, z okazji amnestii po wizycie Jana Pawła II w Polsce, wyszedłem z więzienia na Rakowieckiej. Do aresztu trafiłem jako drukarz Niezależnej Oficyny Wydawniczej „Nowa” razem z Adamem Grzesiakiem i Mateuszem Wierzbickim, z którymi wpadliśmy (niestety razem z całym nakładem „Armii Podziemnej” Bora Komorowskiego i „Vacatem” nr 5) w leśniczówce w Ostrowiku pod Warszawą.

Po krótkich wakacjach spędzonych w sierpniu w Tatrach wróciłem do Warszawy i zastanawiałem się, jak znów włączyć się do jakichś działań podziemnych. Szefowie Nowej zdecydowali bowiem, że jako namierzony przez policję muszę przejść okres kwarantanny i nie powinienem przez jakiś czas zajmować się drukiem. Byłem co prawda członkiem redakcji „Vacatu”, ale to na mój ówczesny temperament było zdecydowanie za mało. Potrzebowałem adrenaliny, a odpowiednią jej dawkę dostarczyć mogły tylko emocje związane z działalnością wydawniczą.

I kiedy tak szedłem sobie Chmielną w sierpniowe popołudnie 1983 roku, spotkałem Wacka. Znalaliśmy się wcześniej, już nie pamiętam skąd, chyba z Nowej lub z NZS.

Po pięciu minutach rozmowy, kiedy wyznałem Wackowi, że nudzę się, a chętnie bym coś porobił konkretnego, padła propozycja przyłączenia się do „Przedświtu”. Oczywiście natychmiast tę propozycję podchwyciłem, a zaraz po tym spotkaniu pobiegłem do Wieśka Bielińskiego czyli Stonia, żeby go też do tej roboty wciągnąć. Słoń też znał Wacka już wcześniej, prowadził co prawda swoje wydawnictwo, ale nie trzeba go było długo nakłaniać.

„Przedświt” to był przede wszystkim Wacek i jego przyjaciel Jarek Markiewicz. Co prawda odbywały się spotkania, najczęściej u Wacka w domu, w których braliśmy udział także my ze Stoniem i później jeszcze Bousław Porowski, ale głos decydujący miał tandem Wacek i Jarek. (...)

Moja rola polegała głównie na odbieraniu z drukarni luźnych wydruków, przewożenia ich do kilku ekip składaczy, a następnie odbieraniu gotowych już książek i rozwożenie ich do kilku dużych skrzynek kolporterskich. Po jakimś czasie ze skrzynek tych za sprzedane egzemplarze odbierałem pieniądze, które przekazywałem Wackowi.

Po tylu latach nie pamiętam już niestety wszystkich współpracowników, wymienię więc tylko kilka osób, które zapamiętałem najlepiej, bo pewnie najczęściej z nimi pracowałem.

Drukarnie mieliśmy dość „egzotyczne”, jedna z nich była drukarnią Związku Młodzieży Socjalistycznej przy ulicy Smolnej, inna mieściła się w szpitalu przy Kasprzaka w Instytucie Matki i Dziecka, jeszcze inna na co dzień była drukarnią Urzędu Miasta Warszawa przy Placu Bankowym (wówczas Dzierżyńskiego).

Odbiór składek najczęściej odbywał się około godziny 6 rano, wydawało mi się bowiem, że to najbezpieczniejsza pora. Kiedy jeszcze nie miałem prawa jazdy moimi kierowcami byli na zmianę Jurek Ignatowski i Witek Celiński.

Pierwszy z nich (niestety już nie żyje) był inwalidą z amputowanymi obiema nogami, jeździł trabantem combi. Znałem go jeszcze z „Nowej”, a na początku stanu wojennego w altanie na jego działce przy ulicy Kosiarzy przez kilka miesięcy drukowałem razem z Tomkiem Jurkowskim „Tygodnik Mazowsze”.

Drugi (od lat mieszka w Perth w Australii), brat cioteczny mojej żony, był taksówkarzem i jeździł polonezem.

Obaj byli bardzo dobrymi kierowcami, nie tracili zimnej krwi na widok radiowozów policyjnych, zawsze można było na nich liczyć. Jurek czasami też składał książki razem ze swoją żoną Różyczką.

Z ludzi składających nasze książki najlepiej zapamiętałem Mietka Książczaka. Pracował wtedy oficjalnie, a i dziś nadal tam pracuje, w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego. Był bardzo sprawny, szybki i solidny. Sam znajdował sobie lokale, w których składał. Pamiętam, że „Konspire” i „Onych” składał w lokalu, który mieścił się w odrapany budynek na rogu Łopuszańskiej i Alei Krakowskiej. We wszystkich chyba mieszkaniach tego budynku mieściły się alkoholowe „mety”. Gdy razem ze Stoniem pojawialiśmy się tam z wielkimi torbami nikogo z mieszkańców to nie dziwiło. Tylko kiedyś jeden z nich zapytał, jak to robimy, że nam flaszki w tych torbach nie brzęczą...

Mietek twierdził, że milicja tam nie wkroczy, bo jeśli nawet przychodzi czasami to też żeby się napić, a nie żeby komuś kipsisz robić. Rzeczywiście, nigdy żadnej wpadki tam nie mieliśmy.

Niezlą ekipę tworzyły Urszula Magnuszka i moja (nieżyjąca już) mama Lidia Siemieńska. Składały książki w mieszkaniu Urszuli przy ulicy Gąbińskiej, często pomagał im, wówczas małoletni, syn Urszuli Patryk, dziś poważny adwokat.

Przez pewien czas składał dla nas także Wojtek Mioduszecki. Mieszkał przy Alei Zjednoczenia i pod jego mieszkaniem w piwnicy był schron przeciwatomowy. W tym schronie Wojtek w tajemnicy przed swoim bratem Jackiem skła-

dał nasze książki w tempie takim, że był szybszy nawet od Mietka. Przypadkiem kiedyś pojechaliśmy ze Stoniem do Wojtka bez uprzedzenia. W schronie siedział chyba ze dwunastu „kwaśnych chłopaków” z podwórka Wojtka i pracownicy składali, a Wojtek polewał do musztardówek „premię za wydajność”. O dziwo, ten lokal też nigdy nie wpadł. Jednak po naszym odkryciu Wojtkowej tajemnicy wydajności zrezygnowaliśmy na wszelki wypadek z jego usług. Wojtek od kilkunastu lat mieszka w Londynie.

Pamiętam też, że w lokalu Edwarda Wasilewskiego przy ulicy Służby Polsce mieliśmy introligatornię, a w niej ogromną gilotynę, tzw. „czołg”. Obsługiwać „czołg” musiało co najmniej dwóch ludzi, ale za to jednorazowo można było obciąć około 50 książek, a nie 3 jak na małych gilotynkach.

Sporadycznie wtedy drukowaliśmy też na sicie, na ogół tomiki poezji. Pamiętam, że tom wierszy Leszka Szarugi drukowałem z moim przyjacielem Robertem Korzeniowskim w jego mieszkaniu przy Alei Wojska Polskiego. U nieżyjących już Roberta rodziców w mieszkaniu przy Stolecznej mieściła się też nasza skrzynka kolportażowa.

Ostrza do gilotyn od czasu do czasu odświeżał nam Maciej Jankowski, który był wtedy ślusarzem na Uniwersytecie Warszawskim, a w latach 90. został szefem NSZZ „Solidarność” Regionu Mazowsze.

Największe partie gotowych już do rozprowadzenia książek woziłem od składaczy do kilku hurtowych kolportażów. Najwięcej, ponad 3/4 nakładów trafiało zawsze do Tomka Doleckiego, który mieszkał wtedy na rogu Czerniakowskiej i Gagarina.

Część odbierał w Instytucie Geologii UW przy Żwirki i Wigury dr Michał Gruszczyński, z którym siedziałem wcześniej w jednej celi na Rakowieckiej.

Sporo książek zabierał do Szczecina mój kolega z roku z Wydziału Filozofii UW Wojtek Patyna.

Były jeszcze inne punkty, do których woziłem gotowe książki, ale niestety nie pamiętam już ani adresów, ani ludzi, do których trafiały.

Zarówno Wacek jak i Jarek dbali o to, by w „Przedświcie” ukazywało się jak najwięcej tekstów, które wcześniej nie były nigdzie publikowane.

Zwłaszcza z dzisiejszej perspektywy widać jak bardzo był „Przedświt” domem wydawniczym o przemyślanym (i dość specyficznym na tle innych podziemnych oficyn) profilu. A nakłady tomików poetyckich były chyba znacznie wyższe niż te, które ukazują się dzisiaj. (...)

Krzysztof Siemieński

Adam Rosenbusch – Radio Erywań odpowiada (1989, II wyd. 1989)
 Adolf Rudnicki – Sto lat temu umarł Dostojewski (1984, oprac. okładki i strony tytułowej: J.)
 Jarosław Marek Rymkiewicz – Mogiła Ordona (1984) Warszawa Niezależna Oficyna Poetów i Malarzy
 Barbara Sadowska – Słodko być dzieckiem Boga (1984, litografie Barbary Zbroźny) Warszawa Niezależna Oficyna Poetów i Malarzy
 Barbara Sadowska – Wiersze ostatnie. (1986, okładka i rysunki Marek Bloch) Warszawa Niezależna Oficyna Poetów i Malarzy
 Henryk Siewierski – Spotkanie narodów (1988)
 Karol Sipowicz – Tajemnicze dzieje pierwiastków (1983) Warszawa Niezależna Oficyna Poetów i Malarzy
 Piotr Skórzyński – Jeśli będziesz ptakiem (1988)
 Henryk Skwar (Henryk Skwarczyński) – Męka stawiania się Amerykaninem (1985, II wyd. 1989)
 Sprawa Grzegorza Przemyska (1988 Przedruk z 70. numeru Zeszytów Historycznych, Instytut Literacki, Paryż 1984. Rysunek na okładce – Maciej Cichocki)
 Claire Sterling – Kto chciał zabić papieża? (1982)
 Leszek Szaruga (Aleksander Wirpsza) – Przez zaciśnięte zęby (1985, rys. Anny Mizerackiej, a także anonimowe)
 Leszek Szaruga (Aleksander Wirpsza) – Szkoła polska (1984)
 Andrzej Szczypiorski – Początek (1986)
 Romuald Szeremietiew – Polityka jest sztuką możliwości (t.1, t.2) (1989)
 Piotr Szewc – Świadectwo (1983) Warszawa Niezależna Oficyna Poetów i Malarzy
 Antoni Szymanek (Grzegorz Białkowski) – Klęski wojenne (1983) Warszawa Niezależna Oficyna Poetów i Malarzy
 Andrzej Tarnawa (Maciej Łopuski) – Proces trwa (1986)
 Marian Terlecki – Poszukiwany (1983, 79 s., II wyd. 1988, 94 s.)
 B. Tomaszewski, J. Węgiński – Lwowska AK (1983)
 Teresa Torańska – Oni (1985, słowo wstępne Jan Bujnowski (Krystyna Kersten))
 Arnold J. Toynbee – Cywilizacja w czasie próby (1988, tłum. Wojciech Madej, 3 tom Biblioteki Aletheia)
 Henryk Waniek – Dziady Berlińskie (1986)
 Józef Henryk Wiśniewski – Cząstka (1988) Warszawa Niezależna Oficyna Poetów i Malarzy.
 Wiesław Wodecki – Listy do Leona (1984)
 Władimir Wojnowicz – Trybunał (1988, tłum. Marek Lach (Wojciech Widlak))
 Michał Wyszymirski – Wszystko po drodze (1986) Warszawa Niezależna Oficyna Poetów i Malarzy

Stefan Kard. Wyszyński – Zapiski więzienne (1983)
 Jerzy Zagórski – Nie mrużmy powiek (1985) Warszawska Niezależna Oficyna Poetów i Malarzy
 Wacław Zagórski (Lech Grzybowski) – Wicher wolności (1989, oprac. graficzne autora przy współpracy Stanisława Gliwy)
 Roman Zimand – Orwell i o nim (1985)
 Ryszard Żółtaniecki – Wypędzeni (1988) Warszawska Niezależna Oficyna Poetów i Malarzy
 Tadeusz Żukowski – Epoka lodowcowa (1986) Warszawska Niezależna Oficyna Poetów i Malarzy
 Periodyki i prace zbiorowe: Argumenty do dialogu polsko-białoruskiego (1986)
 Drogowskazy. Zbiór rozpraw o inteligencji rosyjskiej (1986, tłum z j. ros. PAJCAW)
 Z serii „Biblioteki Krytycznej” Społecznego Komitetu Nauki KARTA, numery: 2, 3, 4, 5, 6, 7
 Komisja Krajowa NSZZ „Solidarność”. Posiedzenie w dniach 22-23 X 1981 (1987) Archiwum Solidarności. Tom 9.
 Krajobraz po szoku (1989, red. Ewa Żylińska (Anna Mieszczanek) Z serii „Tematy Karty”
 KONTAKT (1986)
 Wybór z „Kontaktu” styczeń – październik 1985 nr 33-43
 KULTURA NIEZALEŻNA nr 1-20 (wydawana w latach 1984-1986)
 My i Wy – Mi Es Ti (1986)
 Dwujęzyczne wydanie antologii poezji polskiej i węgierskiej w 300 rocznicę powstania 1956 na Węgrzech. Warszawska Niezależna Oficyna Poetów i Malarzy
 „JARUZELA” nr 5 (1984)
 Polityczni. Więźniowie polityczni w Polsce lat 1981-1986 (1986, zespół Karty, red. Andrzej Szański (Zbigniew Głuza))
 Przeciw dziesięciu milionom (1983)
 WEZWANIE nr 5, 6, 7, 8, 9 (1983 – 1985)
 Zespół „Karty” – W stanie (1984)
 ZEN (Zeszyty Edukacji Narodowej) – Stan obecny i perspektywy systemu politycznego i gospodarczego PRL (1984)
 ZEN (Zeszyty Edukacji Narodowej) – Polska lat osiemdziesiątych. Stan środowiska przyrodniczego (1984)
 ZIARNO – przegląd myśli niepodporządkowanej – nr 1 i 2.

W 1989 roku drogi założycieli Przedświt rozeszły się i powstały dwa wydawnictwa o tej samej nazwie, z różnymi znakami graficznymi. Jarosław Markiewicz do 2001 roku prowadził wydawnictwo pod znakiem „kogutka”, zaś Wacław Holewiński wraz z Ewą Holewińską wydawali książki do końca lat dziewięćdziesiątych, korzystając z nowego logo ze słoneczkiem. Oba wydawnictwa wydały po kilkadziesiąt tytułów.

Przedświt niechcianego dnia

W rót dzisiejszych wielkich wydawnictw strzeże Ochrona i psy. Do toalety może wejść tylko posiadacz plastikowej karty identyfikacyjnej. Wówczas, 25 lat temu, drzwi wydawnictw podziemnych także były trudne do sforsowania. Z innych jednak powodów. Współpraca z podziemnym wydawnictwem nie groziła utratą pracy i zarobków, lecz wolności. (...)

Kiedy niosłem do redakcji Przedświtu swój poemat „Organy Rosji pracują nocą” (1984), miałem w sobie tę nadzieję, że jestem wierny swym ideałom i tam, na Krakowskim Przedmieściu (Al. Ujazdowskie – przyp. red.) w odrapanej kamienicy znajdę ludzi, którzy myślą tak samo jak my wszyscy, którzy czuliśmy groźbę Przełomu. Decyzja co do druku poematu została podjęta w jednej chwili. I nie czekałem długo, by zobaczyć pierwszy egzemplarz. Poezja wówczas obchodziła bardzo wielu. Poezja była potrzebna trochę inaczej niż dzisiejsze rapy, poezja była i budziła Nadzieję. (...)

„Miedzy Sierpniem a młotem”, powieść wydaną w Przedświcie w 1988 roku, pisałem bez najmniejszej nadziei, że kiedykolwiek ukaże się drukiem. Ale musiałem ją napisać, byłem bowiem jedynym artystą, który widział i uczestniczył w negocjacjach MKZ-u i delegacji rządowej. Potem straciłem mowę po pobiciu przez ZOMO (1983), ale wiedziałem, że nie mogę stracić języka, którym spowiadałem swoje życie. Co dalej działo się z Andrzejem Łazarzem to można przeczytać w tekście powieści wydanej w Przedświcie w 1988 roku. (...)

Stanisław Esden-Tempski

Wezwanie
 NIEZALEŻNE
 PISMO
 LITERACKIE
NR 8



Wydawnictwo zostało założone przez Wacława Holewińskiego i Jarosława Markiewicza, którzy stanowili organizacyjny i decyzyjny tandem.

Współpracowali z nimi (stałe lub w różnym czasie) m.in.:

Wiesław Bieliński,
 Jerzy Brukwicki,
 Elżbieta Błaszowska,
 Marek Cichocki,
 Tomasz Dolecki,

Krzysztof Freisler,
 Zdzisław Gniadek,
 Ewa Holewińska,
 Jerzy Ignatowski,
 Piotr Jankowski,
 Tomasz Kwiatkowski,
 Artur Łęga,
 Marek Mickiewicz,
 Maria Ostrowska,
 Katarzyna Płatowska,
 Marek Porębowicz,

Bogusław Porowski,
 Krzysztof Siemieński,
 Wojciech Szczygłowski,
 Paweł Zapaśnik.

W prace wydawnictwa zaangażowanych było też wiele innych osób, wśród nich kierowcy, kolporterzy, drukarze, osoby zajmujące się pracami introligatorskimi czy użyczające mieszkań. Wszyscy narażali się na utratę pracy, aresztowanie lub inne szykany.

Mimo stosowania zasad konspiracji i dużej ostrożności, twórcy i współpracownicy „Przedświtu” nie uniknęli represji. W ciągu siedmiu lat SB zarekwirowała im trzy nakłady książek, ok. 10 ton papieru, kserograf do wykonywania matryc offsetowych, gilotynę i samochód.

- W 1984 roku aresztowano Wacława Holewińskiego (przetrzymany od maja do sierpnia, zwolniony przed procesem na mocy amnestii), kilkakrotnie dokonano też u niego rewizji;
- W 1984 i 1988 roku zatrzymywano na 48 godzin Jarosława Markiewicza, w 1988 skonfiskowano mu samochód;
- W 1985 r. aresztowano Bogusława Porowskiego (więziony od stycznia do lipca).
- W roku 1985 aresztowano Tomasza Doleckiego (przetrzymany od czerwca do listopada, zwolniony przed procesem na mocy amnestii), a w 1988 zatrzymano na 48 godzin (kolegium).

oprac. na podstawie strony www.przedswit.org

KRĄG PAMIĘCI NARODOWEJ – mrówcza praca

W Parku Traugutta w Warszawie, od strony Wisły, znajduje się pamiątkowy głaz, którego losy są bardzo ciekawe. Otóż głaz był dwukrotnie odwracany w zależności od tego, jaki napis chciałno uwidocznić lub ukryć przed oczami Polaków.

Historyczny głaz został odsłonięty przez prezydenta Warszawy Stefana Staryńskiego w listopadzie 1938 r. Był poświęcony nauczycielom stolicy w 20. rocznicę odzyskania niepodległości. Wyryto na nim słowa Józefa Piłsudskiego skierowane do nauczycieli:

**ODRODZIĆ DUSZE LUDZKIE
ZMIEŃĆ CZŁOWIEKA
ZROBIĆ GO LEPSZYM
POTĘŻNIEJSZYM I SILNIEJSZYM
OTO WASZE ZADANIE**

Autorstwo cytatu nie mogło ująć władze komunistyczne i w 1958 r. Stołeczna Rada Narodowa postanowiła coś z tym zrobić. Trzeba stwierdzić, że poszła na łatwiznę, otóż nie zleciła nieznanym sprawcom, aby zniszczyli głaz, ale zdecydowała, by go odwrócić, ukrywając napis, zaś na niezapisanej stronie umieścić własną inskrypcję:

**TAKIE BĘDĄ
RZECZYPOSPOLITE, JAKIE ICH
MŁODZIEŻY CHOWANIE**

Niestety, popełniła błąd, nie sprawdziła, kogo cytuje. I tak mądrą myśl Jana Zamoyskiego przypisała Stanisławowi Staszicowi! O ironio, głaz również poświęciła nauczycielom.

Co byliby dalej, nie wiadomo, gdyby do akcji nie wkroczył Krąg Pamięci Narodowej. Krąg – w osobie niestrudzonego Stefana Melaka – zwrócił się do Związku Nauczycielstwa Polskiego, aby doprowadził do usunięcia kompromitującego błędu. Dla ZNP, co ciekawe, błąd nie był wcale rażący, więc zignorował sprawę. Krąg Pamięci Narodowej nie dał za wygraną, dzięki czemu na początku lat 90. znów odwrócono głaz tak, by odsłonić cytat J. Piłsudskiego. (Kto ciekawy, odnajdzie na głazie z tyłu błędnie podpisaną inskrypcję z 1958 r. i ledwie czytelny podpis: STASZIC.)

Była to tylko jedna z wielu „wojen”, jakie prowadził Krąg Pamięci Narodowej z władzą komunistyczną w latach 70. i 80.

Dowodem innej kompromitacji władz komunistycznych jest fotografia milicjantów przyłapanych na gorącym uczynku. Przedstawia ona „stróżów prawa”, którzy kradną tablicę informującą, gdzie znajduje się pomnik poświęcony bohaterom Olszyny Grochowskiej.

Tablica została wykonana w 1979 r. przez Arkadiusza Melaka, oprócz napisu znalazł się na niej orzeł w koronie i litewska pogoń. A. Melak postawił ją przy

ulicy Traczy prowadzącej do pomnika i powstańczej mogiły. Była doskonale widoczna z przelotowej ulicy Chełmżyńskiej, a właśnie Chełmżyńską miał przejeżdżać prezydent Warszawy Mieczysław Dębicki. SB i partyjne władze postanowiły tablicę usunąć. Akcja, przeprowadzona w lipcu 1982 r., odbyła się sprawnie, ale nie przewidziano, że zostanie uwieczniona na zdjęciach przez jednego z braci Melaków – Andrzeja, członka Kręgu Pamięci Narodowej, który jeszcze pozostawał w tym czasie na wolności (Stefan i Arkadiusz byli internowani).

Gdy milicjanci zorientowali się, że są fotografowani, popędzili wprost do domu Melaka na Wilanów. Uzbrojeni funkcjonariusze wystraszyli teściową pana Andrzeja, ale jego samego nie odnaleźli. Natychmiast wystawiono więc nakaz internowania kolejnego Melaka. Andrzej Melak zakopał film, a sam ukrywał się przez rok. W 1983 r. jego brat Stefan opuścił więzienie i wraz z Kręgiem Pamięci Narodowej i Komitetem Ocalenia Olszyny Grochowskiej postanowił odzyskać tablicę i napiętnować sprawców kradzie-



Nielegalna tablica
i jej twórca Arkadiusz
Melak, 1981 r.,
fot. Andrzej Melak

ży. Napisał artykuł na ten temat, który zaniósł do „Ładu”. Artykuł się nie ukazał, mimo to dotarł, gdzie trzeba. Do Stefana zadzwonił sam prezydent Warszawy z pytaniem, dlaczego powstał artykuł skatujący Bogu ducha winne władze stolicy. Prezydent zaprosił autora artykułu do ratusza.

Zanim S. Melak poszedł do prezydenta, wywołał zdjęcia zrobione przez brata Andrzeja, i poprosił prof. Henryka Wierchowskiego, aby mu towarzyszył (nie mógł wiedzieć, co go tam spotka, więc wołał mieć świadka), informując go jedynie, że rozmowa dotyczyć będzie Olszyny Grochowskiej.

Prezydent zapoznał się ze zdjęciami, potwierdził, że nie miał nic wspólnego z usunięciem tablicy, wysłuchał również prof. Wierchowskiego, który argumentował, jak ważnym miejscem pamięci –

Milicja rabuje tablicę, lipiec 1982 r.,
fot. Andrzej Melak



również dla proletariatu – jest Olszynka. W efekcie Dębicki obiecał przywrócić tablicę w ciągu dziesięciu dni (co rzeczywiście zrobiono), a w zamian poprosił Stefana Melaka, by napisał w swoim artykule, że tablica została przywrócona „decyzją władz wojskowych”.

Tym razem SB przegrała z wojskiem, a zwycięzcą był znów Krąg Pamięci Narodowej reprezentowany przez Stefana Melaka.

Najbardziej dramatyczny, ale i niezwykle przebieg miał rajd z Olszyny do Zielonej (gdzie stoi obelisk upamiętniający ćwiczenia Polskiej Organizacji Wojskowej założonej z inicjatywy J. Piłsudskiego) rozbity przez ZOMO 12 maja 1985 r. w 50. rocznicę śmierci Marszałka. Zwieńczeniem rajdu miała być uroczystość w kościele św. Aleksandra z udziałem wnuczki J. Piłsudskiego – Joanny Jaraczewskiej.

W dzień rajdu, znacznie przed miejscem jego rozpoczęcia, było aż niebiesko od milicyjnych nysk – takie zmasowanie sił zaskoczyło uczestników rajdu, ale jesz-

cze bardziej zaskakujący był widok grupy ludzi w sportowych trykotach, którzy właśnie w tym miejscu przeprowadzali biegi... na orientację, i w dodatku nie mówili po polsku. Byli to Amerykanie, a organizatorem biegów – jak poinformował Stefana Melaka jeden z trykociarzy – była ambasada amerykańska. Gdy Stefan wytłumaczył obcojęzycznemu rozmówcy, iż milicja właśnie wyłapuje jego przyjaciół, ponieważ pragną uczcić pamięć Józefa Piłsudskiego, Amerykanin tylko do pewnego stopnia wykazał się orientacją: wiedział, że Piłsudski to wielki polski bohater, ale nie rozumiał, dlaczego milicja poluje na patriotów chcących uczcić jego pamięć.

Do Zielonej dotarli nieliczni, jednak uroczystość z udziałem pani Jaraczewskiej się odbyła.

Krąg Pamięci Narodowej przeprowadził tak wiele różnych akcji, że trudno je wyliczyć (i nie tylko na terenie Warszawy i okolic, również za granicą); organizował msze polowe, składał wieńce, stawiał pomniki, krzyże, montował tablice. Wszystko to po paru godzinach znikało zabrane przez SB. A jednak ludzie zaangażowani w walkę o pamięć robili swoje, w miejscu zrabowanego krzyża stawiali kolejne, kładli następne kwiaty, montowali nowe tablice i systematycznie organizowali obchody wykreślonych z komunistycznego kalendarza świąt narodowych.

Największy bój stoczył Krąg o Olszynkę Grochowską, która w planach władz komunistycznych miała zniknąć: w miejscu krzyża i powstańczej mogiły postanowiono wybudować drogę!

W 2007 r. minister kultury i dziedzictwa narodowego uhonorował działaczy Kręgu Pamięci Narodowej medalami „Zasłużony Kulturze – Gloria Artis”. Podczas uroczystości powiedział: „Dzisiaj nagradzamy i honorujemy bohaterów prawdy historycznej, którym nie zabrakło odwagi cywilnej w okresie komunistycznego zniewolenia. [...] Szczególny hołd należy się księdzu Wacławowi Karłowiczowi...”

Małgorzata Zaremba

Krąg Pamięci Narodowej powstał w 1974 r. z inicjatywy ks. Wacława Karłowicza, Stefana Melaka (obecnego przewodniczącego Kręgu), biskupa Władysława Miziołka i ks. Antoniego Czajkowskiego, sekretarza, kapelana naczelnego AK. Jego założyciele i członkowie postawili sobie bardzo ważne zadanie – uratować przed zamierzoną przez władze komunistyczne degradacją miejsca pamięci narodowej (jak Olszynka Grochowska, Ossów, Zielona, Radzymin, Cytadela Warszawska) i przywrócić pamięć o bohaterach narodowych wypartych z oficjalnej historii (jak Piłsudski, Traugutt, ks. Skorupko, ofiary Katynia, żołnierze AK, uczestnicy Powstania Warszawskiego). Krąg wydawał własne publikacje, prowadził kolportaż, organizował wykłady, sesje naukowe, wystawy, koncerty, manifestacje patriotyczne, nabożeństwa i rajdy szlakiem miejsc pamięci.

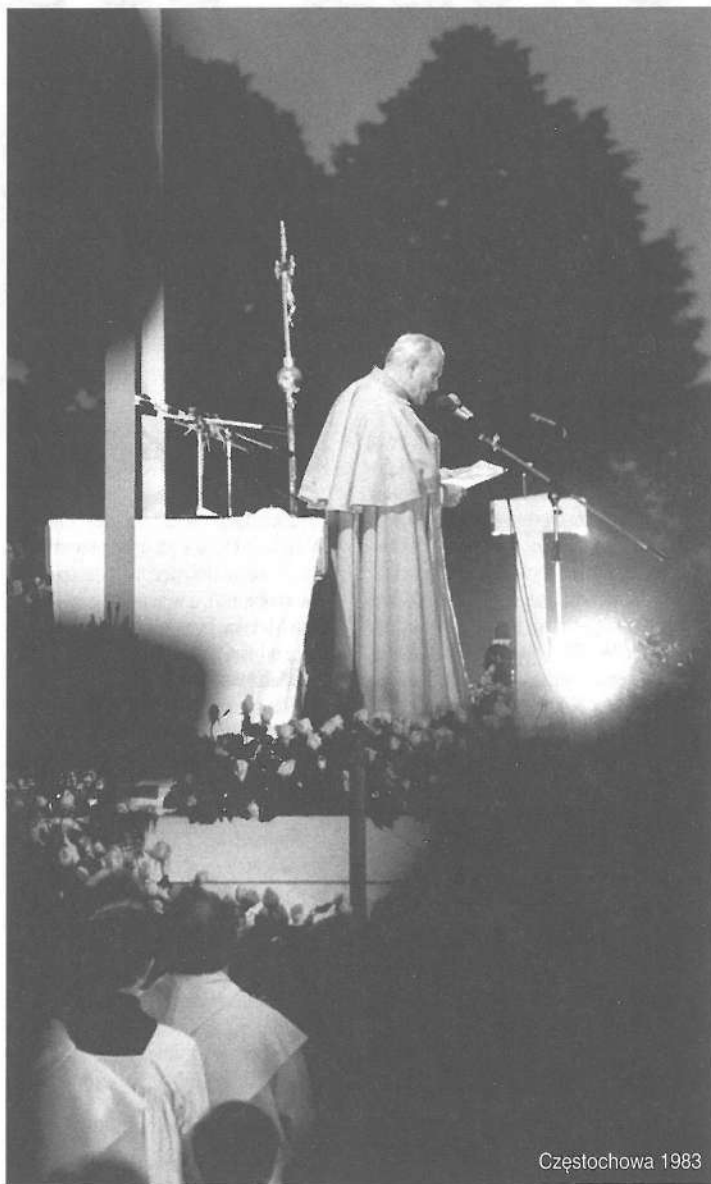
Niczymu się nie dziwić

Rok 1979 – pierwsze spotkanie papieża z narodem podczas mszy na Placu Zwycięstwa w Warszawie, gdzie padły słynne słowa: „Wołam, ja, syn polskiej ziemi, a zarazem ja, Jan Paweł Drugi, papież. Wołam z całej głębi tego Tysiąclecia, wołam w przeddzień Święta Zesłania, wołam z wami wszystkimi: Niech zstąpi Duch Twój. Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi!”. Te żarliwe słowa niosły się po kraju nie tylko podczas pielgrzymek Karola Wojtyły do Ojczyzny, ale i brzmiały mocno w czasie Jego nieobecności, nabierając szczególnego znaczenia za panowania komunizmu.

– Ale napisz koniecznie, bo nie każdy zdaje sobie z tego sprawę – dopomina się Erazm Ciołek – że pielgrzymował do 104 krajów świata, na wszystkich kontynentach. Wszystkie pielgrzymki wywarły wielki wpływ na losy świata, szczególnie te pierwsze, z którymi zawitał do Polski w 1979, 1983, 1987. W sumie przybywał do Ojczyzny ośmiokrotnie, ostatni raz w 2002 r. Któż przypuszczał w 1979 r., gdy w Warszawie rozlegało się wołanie Wojtyły o odnowę oblicza ziemi, że istnieje już dyktando Kremla, nakazująca KGB i GRU działania blokujące „wschodnią ofensywę Watykanu” oraz sięgnięcie po „inne środki” wykraczające poza dyskredytację polskiego papieża (w/g tyg. „Wprost”, pod tą dyktandą podpisał się m.in. M. Gorbaczow). „Inne środki” wkrótce zadziałały, a choć były bezwzględnie ostateczne, okazały się niewystarczające wobec większej mocy. Wojtyła ocalał, jako człowiek i Piotrowy następca.

Erazm Ciołek wysłuchał słynnej inwokacji papieża na Placu Zwycięstwa, stojąc pod megafonem i pstrykając zdjęcia sytuacyjne. To był początek jego wędrówek po Polsce za największym pielgrzymem wszechczasów. Jak przystało na czołowego fotoreportera opozycji antykomunistycznej i podziemia stanu wojennego, podążał za nim krok w krok. I choć wszystkie wizyty były oficjalne (w l. 80. wszak gensek Jaruzelski witał Jana Pawła II), a praca każdego reportera legalna, to jego zdjęcia nie trafiały do gazet, ani polskich, ani światowych. Po prostu robił je z poczucia obowiązku zawodowego dokumentalisty.

Pierwsze zdjęcia w Polsce, związane z wyborem Karola Wojtyły na papieża, zrobił jednak nie on, lecz rezydujący w Warszawie, nikomu nieznany zagraniczny korespondent Chris Niedenthal, który już następnego dnia po wyborze (17. 10. 1978) był w Wadowicach, gdzie zawiózł go Krzysztof Bobiński (korespondent „Financial Times”). Odnaleźli rodzinny dom Ojca Świętego, potem szkołę, w której Niedenthal sfotografował Jego cenzurki, i wreszcie trafili do kościoła, gdzie w zakrystii proboszcz Edward Zachara wyciągnął księgę parafialną, do której w ich obecności, przy



Częstochowa 1983

nocie o chrzcie Karola Wojtyły, dopisał po łacinie, że oto w dniu wczorajszym, 16 października Roku Pańskiego 1978, ten parafianin został wybrany na papieża. W tej zakrystii Niedenthal, jak sam to przyznał, zrobił najważniejsze zdjęcie w swoim życiu. Zdobył okładkę „Neswek`a”, stał się nagle światowym reporterem, publikowanym potem w wielu czołowych pismach (słynne zdjęcie z czołgiem, kinem Moskwa i tytułem filmu „Czas Apokalipsy” z grudnia 1981, też jest jego autorstwa).

Erazm Ciołek nie miał dostępu do żadnego pisma (poza prasą podziemną), w którym mógłby publikować swoje zdjęcia. Ale żaden inny fotoreporter nie zrobił ich tak wiele pielgrzymującemu papieżowi, jak on.

– Nie wiem, nawet nie próbowałem tego liczyć – mówi Erazm – ale na pewno jest ich dobrych kilkadziesiąt tysięcy. W 2006 r. byłem dwa tygodnie na Kubie, skąd przywiozłem ponad 2 tys. zdjęć. Nie przypuszczałem, że w tak krótkim czasie uda się stworzyć tak duży mate-

riał, z którego można już zrobić album. Wydano mi go w zeszłym roku, pt. „Kuba Fidela Castro”. Podaję ten przykład dla porównania, ile można zrobić zdjęć w określonym czasie.

Oczywiście, polski pielgrzym kilka lat wcześniej także był na Kubie, jakże mógłby tam – w jednym z ostatnich żelaznych bastionów komunizmu – nie być, nie zasiał ziarna nadziei. Uściskał dłoń Fidela, który pokornie się skłonił, jakby prosił najwyższego katolickiego kapłana o przebaczenie, rozgrzeszenie... To zdjęcie obiegło świat.

– Kuba szybko poszła, ale dlaczego nie zrobiłeś jeszcze – mówię Erazmowi – albumu z pielgrzymek Wojtyły po Polsce? Masz ogromny materiał, który wręcz sam się o to prosi. Byłby tak samo ważny, jeśli nie ważniejszy, jak twoja czarno-biała księga podziemia „Polska – sierpień 1980 – sierpień 1989”. Byłby to wyjątkowy dokument, nie tylko historyczny, ale i wciąż żywy, działający... No tak – zadumał się reporter, co mnie nie zdziwiło, bo pewnie stała mu

w oczach cała jego półka datowanych segregatorów z pociętymi błonami w koszułkach, których tysiące. Mimo tej starannej segregacji, praca nad albumem byłaby, oczywiście, ogromna. Ale na pewno warto to zrobić, przecież zdjęcia często potrafią więcej powiedzieć, niż książka pisana przez dziennikarza czy historyka.

– Wszystkie lata 80-te, solidarnościowe i wcześniejsze polityczne, opozycyjne – mówi Ciołek – robiłem na taśmie czarno-białej, ponieważ nie wyobrażam sobie, żeby tego typu sytuację robić w kolorze. Ale papieża postanowiłem zrobić właśnie w kolorze. Tak mi się wydaje, że fotografia czarno-biała jest poezją, czyli jakimś zapisem literackim, do którego rozumienia zaprasza się czytelnika, a prozą jest fotografia kolorowa, w której wszystko masz wytłumaczone, opisane. Poezję musisz zrozumieć, wgłębić się w nią, a prozę masz wyłożoną.

No, niezupełnie to jest tak, jak mówi Erazm, bo proza może być też poezją, i to nawet głębszą od słów wierszowanych, ale wiadomo, że chodzi o to, iż zdjęcie barwne jest bardziej szczegółową, wyrazistą „opowieścią”, bardziej czytelnym dokumentem.

Minęło ponad 20 lat od pierwszych pielgrzymek, obrazy i wspomnienia siłą rzeczy nie tyle się zatarły, ile zwały, stopiły w jeden ciąg, jedną historię, z której trudno coś wyróżnić.

– Wędrując krok w krok z papieżem i słuchając wszystkich jego homilii, w pewnym momencie przyłapałem się na tym – wspomina Erazm – że sam już „mówię papieżem”. Ciągłe mi ten głos towarzyszył, i nawet teraz jakbym go słyszał. Ale największe wrażenie sprawiły milionowe tłumy, których reżimowa prasa i telewizja starały się nie pokazywać. Trzymilionowy tłum na mszy pod Tarnowem, dwumilionowy na podkarkowskich Błoniach, w Gdańsku – to widok zapierający dech w piersiach. Erazm podczas każdej mszy stał na specjalnie zbudowanej dla fotoreporterów wieży, nieopodal ołtarza, skąd najlepiej ogarniało się obiektywem nieprzebrane tłumy, prawie z lotu ptaka. Jeśli się nie miało specjalnej przepustki, nie można było sobie dowolnie schodzić z takiej wieży w trakcie mszy, pilnował tego stojący pod nią dyżurny, ale we Wrocławiu w 1983 r. Erazm nie wytrzymał i zmyliwszy czujność dyżurnego zszedł, aby z bliska zrobić zdjęcia papieżowi.

– Kiedy papież szedł wzdłuż ołtarza – opowiada fotograf – ustawiłem się naprzeciwko i cofając się, pstrykałem zdjęcia. Nagle parę osób obejrzało się za siebie, spoglądając na coś leżącego na ziemi. Właśnie przeszli po tym „czymś”, wraz z papieżem, a była to moja letnia kurtka. Miałem ją przewieszoną przez torbę i nie zauważyłem, kiedy spadła. Mam więc kurtkę podeptaną przez papieża, która wisi u mnie do dziś, nieprana.

Katowice 1983



Wszystkie pielgrzymkowe ołtarze były wyjątkowe; stanowiły dla fotografa temat sam w sobie. Ale najwspanialszy – wspomina Erazm – był ten zbudowany przez gdańszczan, w 1987 r. Czegoś tak nadzwyczajnego nigdzie nie było: ołtarz umieszczony na pokładzie gigantycznego dziobu żaglowca, zwanego kogą. Od tyłu wielkie, piętrzące się rusztowania – symbol nieukończonej jeszcze budowy, ale od czoła okręt już w pełni uformowany, z majestatycznie unoszącym się nad morzem ludzkim fantazyjnym dziobem, przepięknie rzeźbionym nie w żadnym styropianie, lecz w prawdziwym, solidnym drzewie. Trzeba było zadzierać głowy, by dojrzeć papieża stojącego przy ołtarzu niczym na kapitańskim mostku. Za nim, wyrastające ze śródookręcia kilkudziesięciometrowe maszty z wielkim, napiętym żaglem, zwieńczone białymi krzyżami. Widać to wszystko doskonale na zdjęciach Erazma. Szkoda, że ta wspaniała, symboliczna budowla (autorstwa Mariana Kołodzieja, scenografa Teatru Wybrzeże) nie pozostała w Polsce.

Jak twierdzi nasz fotoreporter, zainteresowali się nią Amerykanie, prawdopodobnie polskiego pochodzenia, kupili ją i wywieźli za ocean.

Nielatwo było nadążyć za papieżem, który z miasta do miasta przemieszczał się helikopterem. Nie było czasu na odpoczynek ani na sen. Zmęczenie ciężką fotoreporterską robotą w czasie wielogodzinnych ceremonii, to w gruncie rzeczy niezbyt frapujące tematy. Nie dziw zatem, że Erazm w trakcie rozmowy podsuwa mi nagle wieszcy tekst Juliusza Słowackiego, pytając, czy znam to. A jakże: „Pośród niesnasków Pan Bóg uderza / W ogromny dzwon: / Dla Słowiańskiego oto Papieża / Otworzył tron. / Ten przed mieczami tak nie uciecze, / Jako ten Włoch; / On śmiało, jak Bóg, pójdzie na miecze;”.

Napisz koniecznie – prosi Erazm – że po 455 latach papieżem został nie Włoch, lecz słowianin, Polak. Ale już sam Karol Wojtyła, wszak także poeta, na krakowskich Błoniach w 1987 r. skomentował żartobliwie ów wiersz wiesz-

cza z 1848 r. (europejska Wiosna Ludów!): „Wiemy, że Juliusz Słowacki napisał te słowa, na które się nieraz różni powołują: Polsko, Twoja zguba w Rzymie. Jest to ten sam Juliusz Słowacki, który napisał też wiersz o słowiańskim papieżu. Teraz ja, dzisiaj, przybywszy do Krakowa, pomyślałem sobie, miał rację: twoja zguba w Rzymie. Zgubił się człowiek z Polski, z Krakowa i jest w Rzymie, zgubił się... Bardzo przepraszam wieszczę narodowego za to, że tak wypaczylem jego myśl. Teraz pojadę go przeprosić w katedrze na Wawelu”.

To wszystko realia, fakty, łącznie z wieszczą przepowiednią romantycznego poety. A tu jeszcze Erazm Ciołek, po obejrzeniu setek zdjęć w komputerze, zaskakuje mnie jakimiś cudacznymi trzynastkami. Podaje mi druk z najważniejszymi datami z życia Jana Pawła II. Z daty urodzin (18.5.1920) wychodzą dwie trzynastki, początek pontyfikatu (581.) – 13, liczba dni pontyfikatu (9103) – 13, wiek papieża (85 lat) – 13, dzień śmierci (2.04.2005) – 13, godzina śmierci (21.37) – 13, tydzień roku zejścia – 13, Jan Paweł Drugi (ilość liter) – 13, zamach 1981 r. – 13 maja, Objawienie Fatimskie (przepowiednia zamachu) – 13 maja. Jest jeszcze parę innych „trzynastek” wydobytych z tej biografii, a niewykluczone, że znalazłyby się i inne. Ale tego faktu, że oto ja, nędznik niżej podpisany, nie mający w głowie gotowych dat z życia Wojtyły, spotkałem się z Erazmem Ciołkiem w celu zrobienia tego materiału właśnie 13 maja, nie da się pominąć. Zaczęłem się z nim umawiać w kwietniu, potem prosiłem o spotkanie najpóźniej do 12 maja (żeby zdążyć z robotą w terminie), ale ostatecznie stanęło na trzynastym. Cóż, chyba nil admirari, czyli niczemu się nie dziwić! Hugon Bukowski

zdjęcie Erazm Ciołek

Odwilż

Nie było z kim walczyć, nie było prawdziwego wroga, wszędzie sami Polacy, w pracy czekało się spokojnie na fajrant, w domu nie było co robić, więc siedzieliśmy przy odbiornikach, próbowaliśmy się przebić przez szum stacji zagłuszających i usłyszeć z zagranicy choć trochę wiadomości o tym, co się u nas dzieje. Mówili Anglicy, Amerykanie, chłopcy z Monachium, oni jakoś umieli ominąć w radiu te piski i wycia. Dosłownie wszędzie było wojsko i wszędzie milicja, pełno wołów opancerzonych i czołgów, a robić nie było co. Syn zapytał mnie, czy kiedy skończy czternaście lat, będzie mógł przestać wierzyć w Boga, bo taką granicę wieku podał pułkownik Przymanowski w telewizji. Ale ja mu powiedziałem, że pułkownik po to dostaje pieniądze, żeby przeliczał wiarę na lata, a że ludzie forsą za niewiarę nie dostają, nie wierzą żadnym pułkownikom.

– I komu tu wierzyć? – zapytał nasz syn Jurek.

– Weź, skuj mu mordę – powiedziała żona, więc wyłączyłem telewizor.

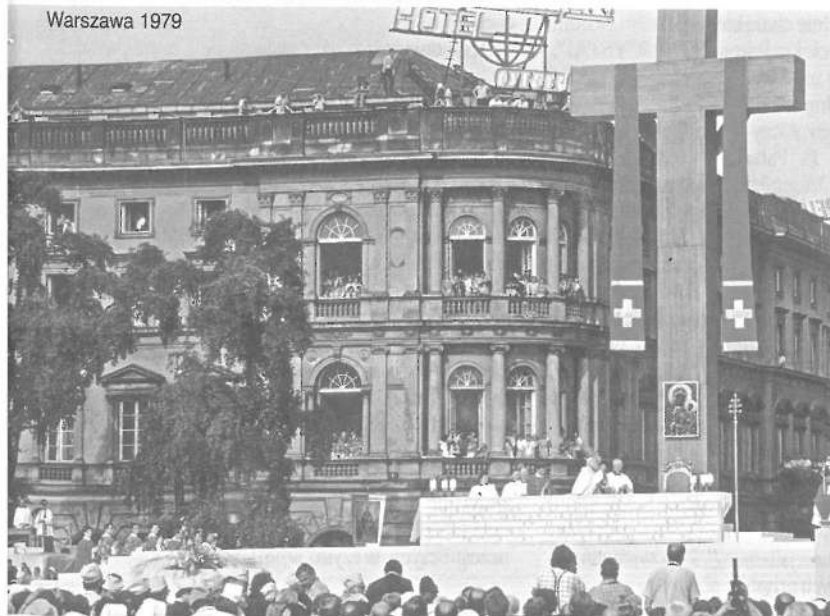
Zapowiadała się na dworze odwilż, dlatego trzeba było czym prędzej przed domem uprzątnąć świeży śnieg, bo następnego dnia byłoby to już bardzo trudne i kobiety idące przed świtem, żeby zająć kolejną do sklepu mięsnego, mogłyby połamać ręce i nogi. Wyciągnąłem z piwnicy łopaty i wróciłem do mieszkania, żeby się ciepło ubrać. Jurek założył rękawice narciarskie i czekał. Poszedłem po sąsiada, który obiecał, że pomoże za pół godziny.

– Trzeba dbać o kondycję – powiedział Jurek – teraz, kiedy lodowisko jest zasypane. A ty, tata, to jesteś strasznie osłabiony.

Ale w chwilę potem nagle otwarły się drzwi, weszło pięciu umundurowanych ludzi z czarnymi kołnierzami przy kurtkach i kazali nam wejść do kuchni. Jeden nas pilnował, a reszta przewracała dom do góry nogami. Robili do północy, nie chcieli nawet herbaty. Tymczasem chodnik przed domem wciąż był zaśnieżony i ludzie się przewracali jak kukielki, a tamci gównem znaleźli. Żaden nie wpadł na pomysł, że już dawno wszystkie materiały, gazetki i taśmy z nagraniami zainosiłem do matki.

Piotr Müldner – Nieckowski
(zbiór „Raz jeden jedyny”,
OW Volumen 2007)

Warszawa 1979



O Solidarności Polsko-Czechosłowackiej z przymrużeniem oka...

Początki istnienia Solidarności Polsko-Czechosłowackiej sięgają roku 1981, kiedy to I Zjazd NSZZ „Solidarność” w Gdańsku uchwalił „Psalenie do ludzi pracy Europy Wschodniej” wzywające robotników innych krajów, aby poszli śladem „Solidarności”. Jeszcze wcześniej polscy intelektualiści i przedstawiciele opozycji nawiązywali kontakty z czeskim undergroundem kulturalnym i działaczami Karty 77. W 1978 r. na granicy polsko-czechosłowackiej spotkali się przedstawiciele KSS „KOR” i Karty 77 przekazując sobie informacje o działalności i omawiając formy współpracy. Wydali wspólne oświadczenie z okazji 10-tej rocznicy interwencji wojsk Układu Warszawskiego. W spotkaniu uczestniczyli: Marta Kubisova, Jirzi Bednar, Tomas Petrivy, Vaclav Havel, Jacek Kuroń, Antoni Macierewicz, Jan Lityński, Adam Michnik. W roku 1981 działacze opozycji z Wrocławia mieli pomysł, by „eksportować” „Solidarność” do Czechosłowacji. Podobno podczas wizyty Aleksandra Gleichgewichta w Pradze u sławnych opozycjonistów Anny Sabatovej i Petra Uhla jesienią 1981 Sabatova (późniejsza rzeczniczka SPCz) wymyśliła nazwę wspólnej organizacji. W październiku 1981 r. działacze wywodzący się z niezależnych środowisk opozycyjnych – Karty 77 w Czechosłowacji, KSS KOR i „Solidarności” w Polsce, podpisali konspiracyjną umowę o wzajemnej współpracy. Celem SPCz (pierwotnie Polsko-Czeskiej) była wymiana informacji o inicjatywach demokratycznych w Polsce i Czechosłowacji, represjach stosowanych przez komunistów wobec opozycji.

O współpracy w ramach SPCz można by napisać długi, poważny artykuł, można też opowiedzieć o niej ze szwejkowskim przymrużeniem oka...

Otóż opozycjoniści z Polski i Czechosłowacji zazwyczaj spotykali się na granicy, organizacją tych spotkań najczęściej zajmowali się Mieczysław Ducin-Piotrowski i Zbigniew Janas, dbali również o bezpieczeństwo „przerzutów”.

Mieczysław Ducin-Piotrowski wspomina rok 1987: – Jako przewodnik sudecki zadbałem o jak najlepsze uwiarygodnienie prowadzonej w góry grupy kuracjuszy z Łądką. Blacha na swetrze, zlecenie przewodniczkę w kieszeni. Stroje grupy stosowne do pięknego sierpniowego dnia. Wraz ze Zbyszkim Janasem i Mirkiem Jasińskim szliśmy z Lutyni w kierunku Borówkowej Góry, wyprzedzając o kilkadziesiąt metrów resztę grupy. Polanka, kapliczka, jakiś tatrzański redyk, który aż w Góry Złote zapędził się za chlebem i zmotoryzowany... plutonowy WOP-u. Trochę mnie zmroziło, choć nasze nazwiska nie wzbudziły jego podejrzeń, gdy postanowił zaczekać z nami na resztę „kuracjuszy”. Z lasu dobiegał już charakterystyczny głos Jaka i wtedy poczułem się nienajlepiej. Pierwszy dowód osobisty okazał Janek Lityński. „Pan nigdzie nie pracuje!” rzucił dzielny wojak i zadowolili się wytłumacze-



niem Lita, że jest on rencistą. Zbyszek Bujak nie zdążył nawet zareagować na podobną kwestię, gdy usłyszał „czy pan jest bratem Janusza?”. Zdębiał, podobnie jak i my. Wszak każdy Bujak w tych latach mógł się spodziewać pytania o koligację ze Zbigniewem, a już Zbigniew mógł się jedynie spodziewać pytania: czy ten Bujak, to Pan? Każdy, ale nie podoficer WOP-u, który w kapowniku zapewne miał odnotowane nazwisko groźnego przemytnika, nie zaś międzynarodowego obalacza systemu. Żołnierz rozpromienił się przy

Zbigniew Janas:

Kiedyś Jacek Kuroń powiedział do Havla: „Vasku, dlaczego gdy mówi Uhl, to bez problemu go rozumiem, a gdy mówisz ty, to cię zrozumieć nie mogę?” (Uhl rozmawiał z nami taką mieszaniną polskiego z czeskim). A Havel na to: „A bo ja mam bogaty, literacki język”.

Pan nie jest nigdzie zatrudniony!”. Na co Jacek pełen oburzenia i ekstremalnie charakterystycznym głosem odparł „Jak to?! Przecież ja jestem PUBLICYSTĄ!”.

I tu trzeba naprawdę użyć wyobraźni, aby ujrzeć iluminację na twarzy plutonowego „Oczywiście Panie Jacku! Ja Pana znam! Znam Pana z Dziennika Telewizyjnego”. Wszystko się zgadzało, poza kontekstem...

Na granicy nie wszyscy mieli szczęście. Anna Walenta przeżyła mniej przyjemną przygodę. Zatrzymano ją na 48 godzin i rozebrano do naga, by zrobić rewizję osobistą, a potem ukarano wysoką grzywną. Pod koniec 1989 r. też były problemy. W listopadzie SPCz zorganizowała we Wrocławiu Międzynarodowe Seminarium „Europa Środkowa. Kultura na rozdrożu – pomiędzy totalitaryzmem a komercjalizmem”. Zapowiadana wystawa dzieł niezależnych artystów plastyków z Czechosłowacji, wraz z jej kuratorem (studentem wrocławskiej

PWSSP) Igorem Wójcikiem została „aresztowana” w Harahovie. Zamiast wystawy na ścianach Galerii Zero zaprezentowano puste ramy z wypisanymi nazwiskami artystów przekreślonymi napisem „ZAREKWIROWANO”. Większość artystów także została zatrzymana na granicy czesko-polskiej, podobnie jak wielu Czechów i Słowaków pragnących wziąć udział w seminarium. We Wrocławiu znalazło się jednak kilka tysięcy sąsiadów z południa, w tym działaczka i przyszła wiceminister spraw wewnętrznych Petruska Sustrova, o której Barbara Sierszuła napisała: zaproszona przez Polsko-Czechosłowacką Solidarność na festiwal kultury niezależnej we Wrocławiu w listopadzie 1989 kupiła bilet lotniczy do... Warszawy licząc na to, że Wrocław leży gdzieś w pobliżu polskiej stolicy. – „To, co było za granicami Czechosłowacji było dla mnie tak odległe, że nawet do głowy mi nie przyszło popatrzeć na mapę”.

Dzięki temu brakowi geograficznej wyobraźni była jedyną z byłych rzeczniczek Karty 77, której udało się dotrzeć na festiwal, czym rozpoczęła się jej wieloletnia przygoda z Polską.

Niecałe dwa tygodnie później zaczęły się w Pradze wydarzenia i protesty, które doprowadziły do upadku systemu komunistycznego w Czechosłowacji.

Ale wróćmy jeszcze do spotkania, o którym opowiadał Mieczysław Ducin-Piotrowski:

– Wracam do wydarzeń z sierpnia 1987 roku. Zaspłani i złani potem, najkrótszą drogą, czyli bez zakosów i prosto w górę dotarliśmy na szczyt Borówkowej. Czekamy, czekamy. Wreszcie po niemal godzinie widzimy Havla prowadzącego zastęp znacznie niż nasz liczniejszy. Wita się z Jackiem. Serdecznie przeprasza za spóźnienie i jakby chciał uczynić zadość, okazuje znajomość polskich obyczajów politycznych, nadmieniam: „No my w Pradze dobrze wiemy, że sierpień, to jest miesiąc, kiedy w Polsce wcale nie pije się alkoholu. Dlatego nie zabraliśmy ze sobą nawet jednej butelki piwa”. Czy potraficie wyobrazić sobie twarz polskich delegatów?! Na szczęście Jacek zabrał ze sobą kilkilitrowy termos, który na szczyt trafił na moich plecach.

Tego dnia byłem naprawdę dumny, że mój wysiłek

nie poszedł na marne i walenie przyczyniłem się do zażegnania pierwszego konfliktu w Międzynarodówce Dysydentów.

Po latach działacze SPCz napisali we wstępie do książki pt. „Ślak do wolności. XXV lat Solidarności Polsko-Czechosłowackiej”:

– W tamtych czasach nie byliśmy w stanie uzmysłowić sobie fenomenu organizacji, którą tworzyliśmy. Spotykając się w górach z czeskiimi i słowackimi przyjaciółmi żartowaliśmy, że na nowo definiujemy zdeza-

wuowane hasło „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się”, ale na pewno nie mieliśmy poczucia, że uczestniczymy w czymś wyjątkowym.

(wybór i opr.

Katarzyna Boruń-Jagodzińska)

Jan Lityński:
Uczyłem się wtedy czeskiego, bardzo pilnie i byłem bardzo dumny, że rozumiem czeski. I jak przyjeżdżała Jitka Vodnianska, która była wysłanniczką Havla, [...] to świetnie mi się z nią rozmawiało. Ja mówiłem po polsku, ona mówiła po czesku i wszystko rozumiałem, a potem przyjechał Honza, jej mąż i zaczął mówić i ja mówię: Lidka jak to się dzieje, jak ty mówisz wszystko rozumiem, a jak Honza to strasznie mało? A ona odpowiedziała – „bo ja mówię polski...”

Tylko na papierze?

Wojciech Maziarski w „Tygodniku Powszechnym” z 31.10.2004 r. pisał:

– Wczesnym latem 1981 r. ostrzelaliśmy kolumnę wojsk sowieckich w samym sercu Budapesztu, na placu Franciszkańskim. Wtedy jeszcze był to plac Wyzwolenia. To dobrze, że tak się nazywał. Głupio byłoby staczać bitwę w miejscu, nad którym unosi się franciszkański duch pokory, radości życia i umiłowania wszystkich stworzeń. A na placu Wyzwolenia – proszę bardzo, można strzelać. Wykład nielegalnego „latającego uniwersytetu”, poświęcony doświadczeniom polskiej „Solidarności”, już się zakończył. Towarzystwo nie zdążyło się jeszcze rozejść do domów, kiedy na zewnątrz zapadła dziwna cisza, w której zaczęło narastać basowe buczenie. Rzuciliśmy się do okien. Z wysokości pięciu pięter stułetniej kamienicy mieliśmy znakomity widok na ciężarówkę pokrytą brezentem, samochody terenowe, wozy ciągnące działka i przyczepki. [...]

Zaatakowaliśmy ich [żołnierzy sowieckich] pestkami czereśni, które ktoś w dużej ilości przywiózł z działki. Kanonada trwała dobre kilka minut i uciхла dopiero, gdy wóz zamykający kolumnę zniknął za rogiem. „To dobry symbol naszych wspólnych zmagani o wolność i demokrację w Europie Środkowej” – powiedział ktoś, gdy miasto za oknami otęszało się już z warkotu wojskowych diesli i wróciło do normalnego wieczornego życia. – „Oto gromadka wyrzuconych z pracy, zmarginalizowanych węgierskich inteligentów i student z Polski atakują siły Związku Radzieckiego pestkami!”

Zabrzmiąło to, jakby chciał powiedzieć: „Porzucić wszelką nadzieję”. Mylił się.

Dziś gospodarz tamtego spotkania – Ferenc Kaszeg – jest przewodniczącym węgierskiego Komitetu Helsińskiego, a po 1989 r. był politykiem i pośłem. Ówczesny prelegent, Gabor Demszky, opowiadający wtedy o swoim pobycie w Polsce i spotkaniach z liderami „Solidarności”, to obecnie jedna z najpopularniejszych osobistości węgierskiego życia publicznego; od czterech już kadencji jest burmistrzem Budapesztu. Inni zaś z owych „zmarginalizowanych inteligentów” są teraz dziennikarzami, biznesmenami, pracownikami instytucji naukowych, przedstawicielami szeroko rozumianej elity i klasy średniej. Wychodzi więc na to, że polsko-węgierskie braterstwo pestek przyniosło oszałamiające rezultaty.

Pojęcie Solidarności Polsko-Węgierskiej kojarzy się dziś z powstańczym zrywem w październiku 1956 r. na Węgrzech przeciwko dyktaturze komunistów, rzadko wspomina się (przynajmniej w internecie) organizację o tej nazwie, a jeśli są jakieś informacje, to bardzo krótkie. Np. Solidarność Polsko-Węgierska – założona 18 lutego 1989 r. Rzecznikiem organizacji został ze strony polskiej Wojciech Maziarski Deklarację podpisali między innymi: Zbigniew Bujak, Zbigniew Janas, Jacek Kuroń. Adam Michnik, Jan Józef Lipski, Janusz Onyszkiewicz. W słowniku opozycji wydany przez Ośrodek Karta czytamy hasło o Wojciechu Maziarskim: „...w lutym 1989 z Gezą Buda, Akosem Engelmayerem i swoim ojcem Jackiem Maziarskim organizował w Podkowie Leśnej spotkanie założycielskie „Solidarności Polsko-Węgierskiej”, która jednak nie podjęta działalności. („Opozycja w PRL-u”, t.2)

Brzmi to tak jakby organizacja istniała tylko na papierze, a przecież mimo, że powstała formalnie na krótko przed wybuchem wolności (na wzór Solidarności Polsko-Czechosłowackiej; wielu działaczy

udzielało się w obu), w praktyce wymiana informacji, pomoc i trójstronne akcje trwały przez całe lata 80. Np. w 1981 r. środowisko opozycji węgierskiej i polskiej organizowało kolonie letnie nad Balatonem dla dzieci z biednych rodzin przysyłanych przez Region Mazowsze NSZZ „Solidarność”. Po ogłoszeniu stanu wojennego w Polsce znów Węgrzy nie pozostali obojętni. Janos Tischler w artykule „Solidarny jak Węgier” pisał:

Przed Bożym Narodzeniem 1981 r. w Budapeszcie pojawiły się podpisane przez dziesięciu znanych działaczy opozycyjnych ulotki. (Powiadomilo o tym Radio Wolna Europa). Wzywano w nich do przyłączenia się do akcji pomocy dla narodu polskiego:



„W Polsce, która od półtora roku nie tracąc nadziei walczy o demokratyczne odrodzenie, żyją dziś dziesiątki tysięcy rodzin pograżonych w żalobie, opiekujących się rannymi, oderwanymi od bliskich i pozbawionych środków do życia; teraz zaś muszą się one zmagać z trudnościami ciężkiej zimy. W tej tragicznej sytuacji my, Węgrzy, powinniśmy wyrazić współczucie wobec braci-Polaków, jeśli nie chcemy zaprzeczyć się wielowiekowej przyjaźni i ostatecznie odrzucić wspólnych tradycji narodowych. Pomóżmy przynajmniej dzieciom! Prosimy wszystkich, którzy mogą przyjąć u siebie dzieci polskich robotników lub wesprzeć finansowo ich przyjazd i pobyt, by zgłosili się pod podanymi niżej adresami. Mamy zamiar poprosić polski Kościół, by pomógł przygotować wyjazd dzieci z najbardziej potrzebujących rodzin. Prosimy też o zgłaszanie się osób, które chciałyby wysłać do Polski paczkę z darami!” („Polityka”, 13.12.2007 r.)

Ekipa kadarowska zdecydowała, że uprzedzi i uniemożliwi inicjatywę opozycji. W związku z tym natychmiast po świętach Bożego Narodzenia Węgierski Czerwony Krzyż (WCK) wydał oświadczenie, według którego „znaczna suma wspiera odezwe Ligi Towarzystw Czerwonego Krzyża o wsparcie bratniej polskiej organizacji, podając jednocześnie numer konta dla zgłaszających się indywidualnych darczyńców”. Po tym kroku WCK opozycji nie pozostało nic innego, jak tylko w drugim numerze najbardziej znaczącego podziemnego czasopisma „Beszelo” ze stycznia 1982 r. zamieścić własną przedsięwziętą odezwe, uzupełnioną o komunikat: „Osobom zamierzającym wysłać paczki z darami zwracamy uwagę na ogłoszoną 28 grudnia przez Węgierski Czerwony Krzyż akcję pomocy Polsce”. Liczbowo dość mała opozycja uznała słusznie, że udzielenie Polakom pomocy jest ważniejszym zadaniem, nawet jeśli w danym przypadku ma to charakter urzędowo-państwowy. Miała świadomość, że w kraju komunistycznym większość ludzi chętniej zwraca się do instytucji państwowych, jeśli mogą uniknąć kłopotów.

Od 1981 r. wychodził w Polsce niezależny dwumiesięcznik „Obóz” poświęcony problemom krajów komunistycznych, również Węgier i Czechosłowacji, podjęto też próbę wydawania kwartalnika „Zona” po polsku, czesku i węgiersku. W 1987 r. w wyd. CDN ukazał się wybór węgierskiej publicystyki niezależnej „Kadaryzm bez maski”. Serwis Informacyjny Solidarności wymieniał informacje z działaczami demokratycznymi na Węgrzech, w Czechosłowacji, Rosji, na Litwie tworząc Wschodnioeuropejską Agencję Informacyjną.

Akos Engelmayer, który brał udział w Powstaniu Węgierskim w roku 1956, w latach 80. pośredniczył między opozycją polską i węgierską; Krystyna Golińska-Engelmayer tak to wspomina:

– W 1986 roku, w 30. rocznicę Powstania Węgierskiego, dzięki poparciu i akceptacji księdza Leona Kantorskiego, w podkowińskim kościele została odsłonięta pierwsza w tej części Europy, łącznie z Węgrami, tablica ku czci poległych i pomordowanych w Październiku 1956 roku, z inskrypcją w języku węgierskim i polskim. Poświęcenie tablicy nastąpiło po uroczystej mszy świętej za Ojczyznę Polaków i Węgrów, z kazaniem księdza Leona, i po odczycie młodego historyka krakowskiego – Wojciecha Frazika. Wtedy też w salach pod kościołem otwarto wystawę pochodzących ze zbiorów mojego męża zdjęć z węgierskich wydarzeń 1956 roku.

Po uroczystości tablica została ukryta. W nocy „nieznani sprawcy”, nie mogąc odnaleźć ukrytej tablicy, uszkodzili stojącą przed kościołem figurę św. Krzysztofa. Można się domyślać, że była to swoista odpowiedź na to, co działo się poprzedniego dnia w kościele. Tablica powróciła do kościoła po 1989 roku i została umocowana do ściany, ale którejś nocy spadła i rozbija się. Pozostanie zagadką, czy ktoś chciał ją zniszczyć, czy spadła na skutek zwykłego niedbalstwa robotników pracujących wtedy przy rozbudowie kościoła. Dziwnym zbiegiem okoliczności w tym samym czasie zerwano litery z kamienia upamiętniającego Katyń (elementu pomnika Kalwarii Polskiej w ogrodzie koło kościoła). Obecnie wisząca tablica jest kopią pierwotnej – odtworzono ją dzięki staraniom księdza Kantorskiego.

Sześć lat wcześniej, w 1980 r., w podkowińskim kościele głodowali polscy „ekstremiści”, protestując przeciwko uwięzieniu niezależnego wydawcy Mirosława Taborczyka. Do głodówki przyłączył się też Węgier Tibor Pakh, który dowiedział się o niej z Radia Wolna Europa i specjalnie w tym celu przyjechał do Podkowi. Tibor Pakh, uczestnik Powstania Węgierskiego, był przez wiele lat więziony za protesty przeciwko wykonywaniu wyroków śmierci na małoletnich powstańcach; w stanie wojennym organizował na Węgrzech pomoc dla polskich sierot.

Po latach, jesienią 2006 r., ale nie z okazji rocznicy tylko z powodu zamieszek w Budapeszcie – reakcji społeczeństwa na nieuczciwość przywódców, Igor Janke przywołał na swoim blogu nazwę organizacji czy też po prostu pojęcie, od wieków trwałe zjawisko: W 1989 roku jako student miałem zaszczyt być w delegacji NZS zaproszonej na symboliczny pogrzeb Imre Nagya. To był dla nich symboliczny koniec komunizmu. Setki tysięcy ludzi wyszły wtedy na ulice Budapesztu. Pamiętam, jak skandowaliśmy razem: Lengyel – Magyar Solidaritas! Solidarność polsko-węgierska! Warto też dziś być solidarnym w walce z obłądą w życiu politycznym.

Zebrała kbj

Czy gra była warta świeczki?

Na początku maja Polska i kraje nadbałtyckie świętowały proklamowanie niepodległości. Stały rytuał powtarza się w każdym z tych miejsc: parady, uroczyste mowy – wszystko wygląda podobnie! Na ekranach telewizorów można zobaczyć obrazy zwycięstw w bezkrwawych rewolucjach, odniesionych przez narody Europy Centralnej i Wschodniej, a różnice między nimi sprowadzają się wyłącznie do pejzaży miejskich i kolorów flag. Tymczasem następny dzień jest już dniem powszednim. Przynosi ze sobą pytania, od których nie można uciec. Co udało się nam uzyskać w walce „za wolność naszą i waszą”? Co dzieje się z nami w czasie, gdy zwycięstwo zostało już odniesione, a świąteczne mowy na jego cześć wygłaszane są w tych krajach co roku? Te pytania mają swój cel – odpowiedź na nie nadaje sens naszemu istnieniu w dzisiejszym świecie.

Najnaturalniej – pozostać sobą

O jakiej pozycji na polu walki mogłam myśleć jesienią 1972 roku, kiedy po raz pierwszy wpadły mi w ręce wiersze Josifa Brodskiego, poemat „Requiem” Anny Achmatowej? A następnie – proste, ale niezwykle silnie oddziaływujący artykuł „Żyj bez kłamstwa!” Aleksandra Sołżenicyna? Zwyczajnie, dzieliłam się tym bogactwem ze swoimi znajomymi w Dyneburgu – podobnie jak moi ryscy przyjaciele dzielili się ze mną. Czy istnieje coś bardziej naturalnego niż czytanie i rozmawianie o tym, co się przeczytało?!

Kiedy w 1974 roku Sołżenicyn został wypędzony ze Związku Radzieckiego, a prasa pełna była oszczerstw pod adresem pisarza, na spotkaniach z moimi kolegami w klubie kolejarzy w Dyneburgu mówiłam, że tę hańbę można porównać tylko z ostracyzmem w antycznej Grecji. Czy może być coś bardziej oczywistego niż komentowanie tego, o czym piszą gazety? Okazało się, że w ten sposób dokonałam wyboru. Ci, którzy utrzymywali ze mną stosunki, musieli również się określić. Miejscowy oddział KGB zaczął zbierać materiały na mnie. Mój były kolega z roku z uczelni pedagogicznej w Dyneburgu, Arkadij Flejszman, przypomniał sobie dokładnie, że ja „już na zajęciach z dyscypliny społecznej wypowiadałam prawicowo-opportunisticzne opinie”. Podjął decyzję, która, wydaje mi się, pomogła mu dostać dobre miejsce pracy. Gdy spotkałam go na ulicy wkrótce po przesłuchaniu, nie podałam mu ręki. Wytłumaczyłam dlaczego. Później został na Łotwie wybitnym specjalistą w dziedzinie metodyki nauczania historii, dowiedziałam się o tym przypadkiem.

Dyrektor klubu kolejarzy w tamtym okresie – Borys Judin, odmówił składania zeznań przeciwko mnie. Spławił śledczego, kiedy ten zaczął cytować polityczne dowcipy, które kiedyś komuś podobno opowiadałam. Zdaje się, że sam stracił swoje stanowisko za to, że przyjął mnie do pracy. A przecież mógł zrobić karierę! Odmówił. On także dokonał wtedy wyboru. Teraz żyje w USA, pisze książki, chyba bardzo dobre, ale to wynik innego wyboru w innej epoce...

Moi wykładowcy w instytucie zostali poinformowani w 1984 roku przez KGB o mojej politycznej nieprawomyślności. Zauważyłam, że jak tylko któryś z nich zobaczył mnie z daleka, szybko przechodził na drugą stronę ulicy. Żeby się nie witać...

Ale ja jeszcze wtedy nie rozumiałam, że już dokonałam wyboru. Nie chciałam żyć w Dyneburgu, pojechałam do Rygi. Pracowałam, gdzie się dało, żeby zapłacić za dach nad głową. Pisałam wiersze, chodziłam na różne seminaria i wiece. Pewnego razu udało mi się. Przyjęli mnie do pracy w gazecie „Kolejarz Krajów Nadbałtyckich”. W marcu 1980 roku instytut literacki przy Związku Pisarzy Łotwy wysłał mnie na se-

minarium młodych literatów Północnego-Zachodu do Leningradu.

Pierwszego dnia zadzwoniłam na numer, który w Rydze dał mi mój przyjaciel. Umówiliśmy się na spotkanie w kościele za miastem. Podróż pociągami, oczekiwanie na stacji metra... tak poznałam filozofa – Tatiannę Goriczewą i pisarkę – Natalię Małachowską, które razem ze znaną obrończynią praw człowieka Julią Wozniesienską przygotowywały pierwsze wydanie podziemnego czasopisma dla kobiet „Maria”. Zainteresowały się moje artykuły i wiersze. Zaczęłam aktywnie współpracować z redakcją. Pisałam pod różnymi pseudonimami o okropnym stanie radzieckich internatów, o kobiecej bezdomności – krótko mówiąc o tym, co w kraju „zwycięskiego socjalizmu” w założeniu nie mogło istnieć. Jednak w rzeczywistości wszystko to było prawdziwe.

Na dzień przed Olimpiadą w Moskwie wszystkie trzy redaktorki zostały zmuszone przez władze do opuszczenia ZSRR. Przed wyjazdem Natasza prosiła mnie o włączenie się w pracę redaktorską. Zgodziłam się. Pismo powstawało w Leningradzie, potem dyplomatycznymi kanałami docierało do Frankfurtu nad Menem, gdzie wydawało je wydawnictwo „Posiew”. W sumie wyszły trzy numery.

Filozoficzne dyskusje, artykuły o kobietach w czasach politycznych represji, widoczne chrześcijańskie nastawienie przeciwstawione marksistowskiej moralności – wszystko to nie mogło nie przyciągnąć uwagi władz. Jedną z redaktorek – Natalię Łazariewą została aresztowana i skazana. W Leningradzie nastąpiła fala rewizji. Znalezione zostały też moje teksty. Z uwagi na to, że mieszkalam daleko, trafili do mnie znacznie później, już po procesie Łazariewej. Wezwali mnie na przesłuchanie do siedziby KGB w Rydze pod koniec 1982 roku. Nie udało się im udowodnić, że byłam jedną z redaktorek pisma. Nie dowiedli też autorstwa wszystkich moich artykułów... Podpisałam oświadczenie, że w przypadku dalszego wrogiego działania, które polegałoby na publikacji „oszczerzych faktów”, przeciwko mnie zostanie wytoczona sprawa karna z odpowiedniego artykułu. Musiałam wyjechać z Rygi. Skończyło się tylko zakazem profesjonalnej działalności w dziennikarstwie. Sędzia śledczy Wiktor Minaj obiecywał mi, że zakaz wykonywania zawodu będzie dożywotni. Ale się pomylił.

Nadszedł czas Łotewskiego „rozbudzenia”. W 1989 roku zostałam przyjęta do pracy w gazecie Frontu Ludowego Łotwy „Atmoda” / „Bałtycki czas”. To był zdecydowanie najlepszy okres! Byłam wolna w dosłownym rozumieniu tego słowa. Pisaliśmy o tym, co uważaliśmy za ciekawe, ważne i przede wszystkim słusze! Miałam nowych przeciwników i sojuszników. Później, już w niepodległej Łotwie, pismo przekształciło się w „Tygodnik Łatgalski” („Latgales Ļaiks”), który wydawany jest w Dyneburgu po dziś dzień. Pisałam o historycznej twierdzy, którą władze przemieniły w gospodarce budynki. O losie starego polskiego cmentarza przekształconego po wojnie w miejskie wysypisko śmieci – w 1992 roku mieszkańcy miasta oczyścili ten teren, a miejscowi rzeźbiarze za swoje pieniądze zbudowali krzyż upamiętniający zmarłych. Ukazanie się mojego artykułu zbiegło się w czasie z odsłonięciem pomnika. Pisałam o losach łotewskich żołnierzy z czasów niepodległej Łotwy, o zesłańcach i ofiarach zamęczonych przez władze. Republika łotewska w latach 1918-1940 była krajem wielonarodowym. Rosjanie, Żydzi, Polacy... niektóre z moich materiałów pomogły tym ludziom rozwiązać konkretne sprawy.

Wraz z kolegami przywracaliśmy z historycznego niebytu to, co zostało na pół wieku usunięte ze świadomości społecznej. Pracował z nami doskonały fo-

toreporter – Walery Iwanow. Lubił fotografować prawdziwe życie. Zdarzały się przy tym przykre sytuacje. Pewien pułkownik podniósł larum, gdy zobaczył na zdjęciu w gazecie swoją willę. Ściany domu wyłożone były kamieniami z historycznej twierdzy w Dyneburgu...

Gorsze czasy nadeszły, gdy w 1992 roku przyjęte zostało prawo o obywatelstwie łotewskim, a dokładniej, o natychmiastowym przywróceniu go obywatelom pierwszej Republiki Łotewskiej istniejącej do 18 lipca 1940 roku. Dla osób takich jak ja, które osiedliły się w tym kraju po wojnie, nie było już miejsca. To samo odczuły setki tysięcy moich rosyjskojęzycznych czytelników. Dokonałam kolejnego wyboru. Emigrowałam razem z dziewięcioletnim synem do Niemiec w 1993 roku. Opuściłam Łotwę, gdzie przeżyłam 40 lat. Wyjechałam z kraju, który kochałam, znałam i uważałam za swój dom. Do tej pory nie potrafię powiedzieć, czy postąpiłam słusznie. Jednak to był mój wybór! Nie zostałam wydalona z kraju pod groźbą aresztu, tak jak moje przyjaciółki z czasopisma „Maria”. Po prostu zrozumiałam, że mój bezpośredni udział w łotewskiej „rewolucji kwiatów” skończył się.

A ile mnie to kosztowało?...

Krag się zamyka. Po czternastu latach odwiedziłam Łotwę. Spotkałam się ze starymi przyjaciółmi, z którymi wiąże mnie jeszcze fakt, że w tamtych czasach mieliśmy te same poglądy. Nie ze wszystkimi udało mi się zobaczyć. Wielu wyjechało na Zachód. Niektórzy wrócili do kraju, z którego kiedyś sami przyjechali do Łotwy lub zostali przywiezieni przez rodziców.

Mój kolega, fotoreporter tygodnika „Latgales Ļaiks” – Walery Iwanow jeszcze w połowie lat 90. zginął w niewyjaśnionych okolicznościach. Żona znalazła w domu jego powieszzone ciało. Śledczy sądowi ustalili, że popełnił samobójstwo. Ale wszyscy znajomi do dziś wspominają, że na całym ciele zmarłego znajdowały się ślady pobicia... teraz pewnie nie, ale kiedyś poznamy, jak w rzeczywistości zginął ten wesoły i nieustraszony człowiek, który tak lubił życie i który potrafił utrwalić je w najbardziej niespodziewanych obrazach!...

Wielu z tych, którzy w tym czasie uznali sprawę łotewskiej niepodległości za swoją własną, nie jest dziś gotowych odpowiedzieć na pytanie, czy warto było mieć nadzieję i poświęcić tyle sił dla walki. W rewolucyjnym zapale zniszczono wiele kompleksów przemysłowych nie zważając na skutki ekonomiczne, tylko dlatego, że były dziełem władzy radzieckiej. Dzieśiatki, jeśli nie setki, ludzi zostało bez pracy. Nie istnieje już słynny rosyjski zespół łotewskiego teatru młodzieżowego. Wiele się zmieniło! Nie potrafiąc poradzić sobie z problemem ludzi pozbawionych obywatelstwa, wśród nich byli i tacy, którzy razem z obecnymi obywatelami Łotwy walczyli z ZSRR o jej niepodległość, władze kraju udają, że problem w ogóle nie istnieje. Takie postępowanie nie może podobać się ludziom!

Mam zamiar kupić bilet i znowu odwiedzić Łotwę, tym razem bez czekania na granicach i bez kontroli celnej. Przecież żyjemy teraz w jednej europejskiej wspólnocie. Niepodległa Łotwa, członek Unii Europejskiej, w zeszłym roku podpisała Porozumienie z Schengen, i właśnie uczy się wykorzystywać nowe możliwości. Ale to temat na osobną rozmowę! Nikt nie może teraz zabronić moim znajomym napisać i wydać w dowolnym języku co tylko chcą! W łotewskiej prasie pełno jest ostrej krytyki, za którą nikogo nie podają do sądu. Możliwe zatem, że nasze wysiłki mimo wszystko w jakiejś mierze już się opłaciły?...

Klaudia Romantowa
przel. Agata Zaremba

W górę krętymi schodami

Był śnieżny styczeń 1977 roku. Miasto – Ryga. Razem z poetą Władimirem Frenkelem ostrożnie wchodziliśmy drewnianymi, krętymi schodami na samą górę starego domu – na strych. Właściciel mieszkania nie posiadał wtedy telefonu, więc bez wcześniejszego zawiadomienia udaliśmy się na miejsce, aby poznać człowieka, o którym wiedzieliśmy, że jest nadzwyczajny. Podziwialiśmy go między innymi dlatego, że nie mając ani pieniędzy, ani możliwości uzyskania dachu nad głową dla swojej rodziny, urządził mieszkanie na strychu w ogromnym i źle ogrzewanym pomieszczeniu, które nie odnotowane w zasobach mieszkaniowych całymi latami stało zamknięte. Nikt z nas nie posiadał własnego mieszkania, więc sam fakt sprzeciwienia się poleceniom władzy wywoływał zainteresowanie! Walery Sulimow, z którym mieliśmy się spotkać, był już doświadczonym „otkaźnikiem”, jak nazywano tych, którzy postanowili opuścić ZSRR: regularnie składał dokumenty na wyjazd z ZSRR – najpierw do Polski, potem do USA, i tak samo regularnie otrzymywał odmowę. Zbliżyło go to do żydowskiego ruchu kulturalnego, w którym wtedy my również działaliśmy. Wielu takich jak Walery uzyskało pozwolenie na emigrowanie z ZSRR. Większość, chociaż nie wszyscy, miało zamiar wyjechać do Izraela. Uczestnictwo w cotygodniowych seminariach z historii narodu żydowskiego dotyczących jego tradycji i religii było jednak niebezpieczne: można było po prostu stracić pracę, bez nadziei, że uda się kiedyś powrócić do zawodu.

Chociaż Walery, jako jedyny, nie był w tym towarzystwie Żydem, to właśnie on dostarczał z Moskwy i Petersburga wydawane w samizdacie pisma: „Żydzi w ZSRR” i „Tarbut” („Kultura”). Potem jego żona Lilia przepisywała przywiezione materiały na maszynie dla wszystkich uczestników seminariów. Walery dostarczał z Moskwy również pomoc materialną, od niego zaś stołeczne organizacje obrony praw człowieka i Zachód dostawały informacje o represjach wobec aktywistów żydowskiego ruchu w Rydze. Ale o tym nikt z nas trojga, oczywiście, nie wiedział...

Było bardzo zimno – gospodarze dopiero co zadowaliali się na świeżo zaadaptowanym strychu. Lilia poczęstowała nas gorącą kawą i kanapkami. W czasie mojej pierwszej wizyty u Sulimowych zdziwiła mnie duża ilość obcojęzycznych książek: w językach francuskim i polskim. Wielu tych dzieł zachodnich pisarzy, które Walery czytał po polsku, nigdy nie tłumaczono na język rosyjski. Okazało się, że gospodarz zna te języki od dziecka, chociaż pochodził z dalekiej miejscowości nad Morzem Czarnym – Suchumi, stolicy Abchazji...

Kiedy ratowało słowo prawdy

Można powiedzieć, że postawa sprzeciwu wobec reżimu przemocy i kłamstwa zaczęła się u niego już w dzieciństwie. W pamięci pozostał mu straszny obraz 1956 roku, kiedy to chyba prawie wszyscy mieszkańcy Suchumi spotkali się na głównym placu, aby protestować przeciwko zburzeniu pomnika Stalina. Nikt nie jest w stanie wytłumaczyć przyczyn tak gwałtownego przejawu miłości do niedawno zmarłego tyra, który okrutnie obszedł się z samą Gruzją, jak i z autonomiczną republiką Abchazji! Najprawdopodobniej protest ten był aktem sprzeciwu wobec decyzji władz! Pomnik został okrzyszczony przez czołgi. Nauczyciele przyprowadzili uczniów – przecież nikt nie wysła czołgów na dzieci! Wysłali! Szczęk żelaznych gąsienic, krzyki przerażenia i bólu, krew i rzeka Kura, którą jeszcze długo spływały do morza zmasakrowane ludzkie ciała, na zawsze pozostały w pamięci Walerego.

Miał 15 lat, kiedy włączył się w pracę organizacji młodzieżowej, celem której było wyzwolenie Abchazji od dyktatu Moskwy i Gruzji. Był najmłodszy. Dla

tego też nie wsadzili go do więzienia za rozrzucanie ulotek w teatrze. Został tylko wyrzucony ze szkoły i zabroniono mu też uczestniczyć w zajęciach sekcji aikido. Sport – to dla niego była największa strata. Mógł się pochwalić bardzo dobrymi wynikami. Występował w narodowej reprezentacji republiki Abchazji... Wkrótce Walery wyjechał z Suchumi.

Nadszedł rok 1968. Walery Sulimow odbywał już drugi rok służby w wojsku, był łącznościowcem w jednostce czołgowej stacjonującej na Zachodniej Ukrainie przy samej granicy z Czechosłowacją. „Siedziałem na nasłuchu” – tak opisuje dzisiaj swoje służbowe obowiązki. Kiedy przyszedł rozkaz wkroczenia do Czechosłowacji, Walery wraz z kilkoma towarzyszami odmówił podporządkowania się mu.

– Dowódca najpierw zdziwił się – wspomina Walery. „Czy ja dobrze pojmuję? Chcesz złamać przysięgę?” Odpowiedziałem, że nie nie rozumiem – przecież Czechosłowacja nie napadła na Związek Radziecki i nie ma zamiaru napadać! Nie mam więc obowiązku bronienia przed nią mojej socjalistycznej Ojczyzny. Spytał, czy wiem jakie są następstwa odmowy podporządkowania się rozkazom. Naturalnie, że tak. Za to groził trybunał. Wyprowadzili mnie. Ale nie postawili przed sądem. Nie chcieli rozgłosu. Zamiast tego przetrzymali kilka miesięcy na specjalnym oddziale poradni psychiatrycznej we Lwowie, po czym wypuścili z diagnozą „psychopatia”. (Diagnozę w 1987 roku obaliła grupa międzynarodowych niezależnych ekspertów w dziedzinie psychiatrii.)

Po wyjściu ze szpitala spotkało go niespodziewane szczęście. Dostał pozwolenie na wyjazd do Polski. Oczarował go kraj, gdzie po niedawnych marcowych wydarzeniach aż gotowało się od wolnej myśli. Nadchodził grudzień 1968 roku. Ludzie mówili zrozumiałym dla niego językiem o tym, co było mu bliskie!

Kolejny raz przyjechać do Polski, mimo regularnego składania podań w tej sprawie, udało mu się dopiero po prawie 20 latach!...

Walery zamieszkał w Rydze. Kiedy się poznaliśmy, pracował jako ładowacz w sklepie spożywczym. Pracował ciężko. Płacili mało. Praca była zmianowa, Walery co drugi tydzień miał wolny. Odpowiadał mu taki grafik, bo dawał możliwość poświęcenia całego wolnego czasu sprawom dla niego ważnym.

Sulimow poznał akademika – Andrieja Sacharowa, astrofizyka – Jurija Orłowa. Pojawiły się kontakty z amerykańskimi i francuskimi dyplomatami i dziennikarzami. Złożył telefon. Jego numer: 210030 – znany był daleko poza granicami Rygi. Nawet nieznajomi dzwoniли i prosili o pomoc. Przekazanie na Zachód najważniejszego więźnia politycznego, pisarza będącego w niełasce albo redaktora podziemnego pisma mogło oznaczać wybawienie od dalszych prześladowań. Walery jechał na kilka dni do Moskwy albo Leningradu. I informacja przedostawała się w odpowiednie miejsca: pojawiała się w zagranicznym radiu, w prasie. A do Rygi Walery przywoził świeżą literaturę.

Pamiętam nieustający dźwięk maszyny do pisania – to Lilia przepisywała teksty samizdatów. Walery robił fotokopie całych książek. Od czasu do czasu przychodzili do nich ludzie z KGB, szukali zakazanej literatury. „Myśliwi” wywozili całe worki książek i tekstów, a także maszyny do pisania. Po pewnym czasie niektóre zabrane rzeczy wracały do domu. Ale nie maszyny. Te trzeba było znów kupować. Później pojawił się nawet pewien rytm: od jednej rewizji do kolejnej mijało równo dziewięć miesięcy. Śmiałyśmy się z tego i kupowałyśmy butelkę – aby uczcić wydarzenie.

– Dziewięć – magiczna liczba – mówi dzisiaj Walery – tyle było u mnie przeszukań. Jeśli znaleźliby, na przykład, „Archipelag Gulag” Sołżenicyna, byłoby nie do

śmiechu! Pewny wyrok. Na szczęście przyszli, kiedy już przekazałem tę książkę! Bóg, jak widać, chronił mnie!

Przyszedł 1980 rok. Dało się odczuć, że w Polsce coś się dzieje. Z kiosków zaczęły stopniowo zniknąć polskie gazety i pisma. Ale Walery znalazł sposób, aby je zdobywać. Czytał „Kurier Polski”, „Politykę”. To on jako pierwszy, rozpowszechnił w Związku Radzieckim 21 Postulatów i „Posłanie »Solidarności« do ludzi pracy Europy Wschodniej”.

Artykuły o katastrofalnej sytuacji ludzi w Polsce, o prawdziwym robotniczym związku zawodowym „Solidarność”... Walery tłumaczył na głos tekst od razu z kartki. „Zapisz – poprosiłam. – Ludzie muszą to wiedzieć!”.

Tak narodziła się idea przeglądu „Polska – sama o sobie”! Walery tłumaczył, ja redagowałam, Lilia napisała na maszynie pierwsze dwanaście egzemplarzy. Znajomi zabierali pismo do ryskich fabryk, tam rozmnażały się one niczym żywe istoty. Później, na początku 1982 roku, Walery z żoną przygotowali jeszcze jeden zbiór przekładów z polskiej prasy – „Polska – sama o sobie, póki może mówić”.

W Polsce wprowadzono stan wojenny. Mówili, że ludzie zaczęli głodować. Sulimow zaczął posyłać paczki z niezbędnymi produktami. Znajomi także kupowali produkty dla biednej Polski. Pamiętam, że przyniosłam torbę z cukrem, makaronem, mydłem i kawą. Czułam się niezręczna – taka skromna paczka. Ale, podobno, tego wtedy tam brakowało. Wszystko dochodziło. Walery przekazywał paczki przez katolickich duchownych. Nie korzystał z usług poczty, której pracownicy często „gubili” albo po prostu kradli paczki międzynarodowe.

Walery dużo tłumaczył z języka polskiego. Przełożył wtedy zbiór wspomnień „Cud nad Wisłą” – świadectwa naocznych świadków, którzy podczas bitwy z bolszewikami pod Warszawą w 1920 roku ujrzeli obraz Matki Boskiej. Potem otrzymał zamówienie: przekład zbioru tekstów Watykańskiego Radia i książki o ojcu Pio. Wszystkie te prace trafiały do Polski, skąd po wydrukowaniu, jechały do Związku Radzieckiego. Znalazło się tam nazwisko tłumacza. Walery żył wtedy polskimi wydarzeniami, chociaż aż do 1987 roku miał zakaz wyjazdu z ZSRR...

Trzydzieści lat później

Zimowym wieczorem 1977 roku, kiedy poznaliśmy Sulimowych, nikt z nas nie mógł wiedzieć jak mocno zwiążą się nasze losy. Poeta i publicysta Władimir Frenkel równo osiem lat później, w styczniu 1985 roku, został aresztowany w Rydze i otrzymał wyrok za swoje artykuły i wystąpienia na spotkaniach w środowiskach chrześcijańskich i żydowskich.

Funkcjonariusz KGB podczas jednej z kolejnych rewizji w domu Walerego znaleźli opracowanie, jak zachowywać się na przesłuchaniu autorstwa W. Frenkla, w sprawie którego w tym czasie toczyło się postępowanie karne z artykułu „za oczernianie władzy radzieckiej”. Walery nie wydał autora znalezionych u niego materiałów, ani ludzi, którzy je do niego przynieśli. Czy wtedy mógł ktoś przewidzieć, że los rozruci nas po świetle i nie wszyscy spotkamy się znówu.

Władimir Frenkel po wyjściu z więzienia w 1988 roku wyemigrował do Izraela. Związek Radziecki runął. W 1992 roku Walery z Lilią przenieśli się do Polski, rok później ja wyjechałam z Łotwy. W 1996 roku Walery dostał polskie obywatelstwo – za zasługi w walce o niepodległość Polski. Lilia nie doczekała tego momentu – rok wcześniej w Olsztynie zmarła na zawał serca.

I wreszcie stało się coś zupełnie nieprawdopodobnego. Walery znalazł mnie w Niemczech – i w 2006 roku pobraliśmy się. Ale tu zaczyna się już całkiem inna historia...

Klaudia Romantowa, przeł. Agata Zaremba

Stowarzyszenie Wolnego Słowa istnieje od 2003 r. i zrzesza działaczy opozycji antykomunistycznej i podziemia solidarnościowego: związkowców, członków organizacji studenckich i młodzieżowych, dziennikarzy, drukarzy, kolporterów, wykładowców oraz pisarzy, plastyków i artystów, a także wszystkich zaangażowanych w działalność na rzecz wolnego słowa w Polsce w latach 1976 – 1989.

Do najważniejszych celów Stowarzyszenie należy monitorowanie przejawów gwałcenia wolności słowa oraz pomoc osobom represjonowanym gdyby doszło do łamania wolności słowa w Polsce i za granicą.

Ważnym celem Stowarzyszenia jest gromadzenie, opracowywanie, upamiętnianie i upowszechnianie wiedzy na temat działalności opozycji w PRL w latach 1976-89, a także integracja byłych działaczy

stowarzyszenie wolnego słowa

podziemia oraz wspieranie tych, którzy pozostają w trudnej sytuacji bytowej. Stowarzyszenie Wolnego Słowa stara się reprezentować uczestników podziemia w kontaktach z władzami i instytucjami państwowymi, takimi jak IPN, Urząd ds. Kombatantów itp. Stowarzyszenie zajmuje stanowisko oraz współuczestniczy w tworzeniu ram prawnych lustracji, dekomunizacji oraz funkcjonowania IPN, z którym blisko współpracujemy.

W rocznicę wyborów czerwcowych organizujemy rokrocznie Dni Wolnego Słowa. Przy tej okazji wydajemy poświęcone historii wydawnictw podziemnych i kulturze niezależnej pismo „Bibuła”.

Stowarzyszenie współpracuje także z wieloma organizacjami społecznymi, m.in. Klubami Gazety Polskiej, Stowarzyszeniem „Pokolenie”, Konwentem Seniorów „Solidarności” i Stowarzyszeniem Pisarzy Polskich.

Co zrobiliśmy?

czerwiec 2007 – kwiecień 2008

W siedzibie SWS przy ul. Marszałkowskiej 7 odbywały się regularnie spotkania klubu „Gazety Polskiej”.

czerwiec 2007

Obchody 30. rocznicy powstania Niezależnej Oficyny Wydawniczej, pierwszego i największego w całej Europie Śr. – Wsch. wydawnictwa działającego poza komunistyczną cenzurą. W programie konferencja, koncert.

Promocja albumu „Czerwiec 1976 w Ursusie”, którego współwydawcą było SWS. Przy murze Cytadeli Warszawskiej odbył się koncert „Pytam o wolność”.

Spotkanie środowiska CDN.

Sierpień 2007

10 – 31 sierpnia 2007 wystawa „Bibuła – od wolnego słowa do wolności” w Sali Marmurowej Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie. Obejrzało ją blisko 25 tys. osób. Ekspozycja była poświęcona wydawnictwom niezależnym i podziemnym z okresu PRL, a powstała z okazji 30. rocznicy powstania Niezależnej Oficyny Wydawniczej. Wystawa zorganizowana wspólnie ze Stołecznym Zarządem Rozbudowy Miasta – Muzeum Komunizmu.

Wrzesień 2007

Konferencja prasowa Aleksandra Milinkiewicza w lokalu SWS.

Spotkanie z Januszem Korwin Mikke.

Koncert Pawła Piekarczyka.

Pikieta SWS pod Belwederem w związku z przyjazdem premiera rządu komunistycznego Wietnamu.

Spotkanie w rocznicę śmierci Tolka Lawiny.

Spotkanie przedstawicieli CSSO (organizacje z całego świata wspierające Solidarną w okresie 1981-89) współorganizowane przez SWS.

Listopad 2007

Prezentacja wystawy „Bibuła” na Wydziale Chemii Uniwersytetu Warszawskiego przy ul. Pasteura 1.

Listopad 2007

Prezentacja wystawy pod hasłem „Warszawiacy”, będącej plonem ubiegłorocznej edycji konkursu Warszawska Jesień Fotograficzna, organizowanego przez Fundację „Homo Viator” oraz WIK Wprost i Kultura.

Dyskusje panelowe Materiały IPN jako źródło wiedzy o historii PRL, które odbyły się w Warszawie i Łodzi.

Październik 2007

W sali Hotelu Europejskiego w Warszawie odbyło się spotkanie pracowników i współpracowników Niezależnej Oficyny Wydawniczej „NOWA”.

Listopad 2007

Konferencja Radio Wolna Europa w polityce polskiej i zachodniej.

Grudzień 2007

Międzynarodowa konferencja „Dla Wolności i Solidarności” poświęcona ocenie przestrzegania praw człowieka i obywatela w świecie. W konferencji udział wzięli przedstawiciele opozycji z Azerbejdżanu, Białorusi, Birmy, Chin, Czeczenii, Kazachstanu, Rosji, Tybetu, Wietnamu oraz działacze opozycji antykomunistycznej z Polski.

Konferencja „Bibuła – od wolnego słowa do wolności”.

Wystawa „Bibuła – od wolnego słowa do wolności” prezentowana na XII piętrze PKiN w Collegium Civitas, w dniach 10 – 30 grudnia br.

Manifestacja w obronę wolności słowa, przed siedzibą sądu w Warszawie. Przegląd filmów Staszki Domagalskiej (jej reżyseria i scenariusz lub współpraca reżyserska), który odbył się w dniach 19-20.01.2008 r. w siedzibie SWS.

Styczeń 2008

„Wieczór z kulturą Japonii”.

Luty 2008

Wystawa Żydowskie Twarze. ŻÓŁTKO I EIERWEISS.

Spotkanie środowiska Ormian polskich.

Powstaje Grupa Robocza Środowisk Opozycji Antykomunistycznej zajmująca się projektem ustawy „o uprawnieniach kombatantów...”.

Marzec 2008

W siedzibie Stowarzyszenia Wolnego Słowa w Warszawie odbyło się spotkanie dyskusyjne przedstawicieli organizacji zrzeszających działaczy opozycji i ofiar represji PRL, na temat projektu ustawy „o uprawnieniach kombatantów...”.

Prezentacja ŻYD NIEMALOWANY II (dziewiętnastowieczne drzeworyty stworzone o tematyce żydowskiej z kolekcji Alicji B. Schottlas).

Kwiecień 2008

NADZWYCZAJNE WALNE ZGROMADZENIE CZŁONKÓW SWS.

Konferencja prasowa poświęcona ustawie medialnej.

Kwiecień – maj 2008

DRUGA WYSTAWA WOJENNA (sztuka i poezja z lat 1980-89), która odbyła się 30 kwietnia 2008 w GALERII COLLEGIUM CIVITAS, w Warszawie w Pałacu Kultury i Nauki.

Umowa pomiędzy Konwentem „Solidarności” a Stowarzyszeniem Wolnego Słowa.

Maj 2008

Spotkanie „Amerykański i polski wkład do europejskiego zjednoczenia”.

Spotkanie Prezesa SWS Mirosława Chojckiego z przedstawicielami Klubów Parlamentarnych oraz z Prezydentem RP.

Maj – czerwiec 2008

Studencka wiosna 1988 – kontrofensywa Niezależnego Zrzeszenia Studentów.

Czerwiec 2008

Prezentacja wystawy „Dzieci Ickreii” na dziedzińcu UW.

Otwarcie wystawy zdjęć Erazma Ciołka poświęconych Andrzejowi Fedorowiczowi (1955-2008) współtwórcy Przeglądu Wiadomości Agencyjnych oraz II programu Radia „Solidarność”.

Dwudniowe spotkanie w Lublinie z okazji XX rocznicy Protestów Studenckich w 1988.

Dni Wolnego Słowa w dniach 14-15 czerwca 2008.

STOWARZYSZENIE WOLNEGO SŁOWA

Siedziba: ul. Wilcza 12c, 00-532 Warszawa

Nr konta: PKO S.A. 09 1240 1024 1111 0010 0741 3451

(wpłaty prosimy opatrzyć dopiskiem 'składka' lub 'data-tek') – częściowo wypełniony, gotowy do druku blankiet wpłaty znajduje się na stronie internetowej:

www.sws.org.pl. Adres e-mail: sws@sws.org.pl

Miejsce i godziny pracy sekretariatu SWS: 00-626

Warszawa, ul. Marszałkowska 7,

tel. 022 405 66 30, w godzinach 10–18.



Wydawnictwo przygotowane przez Stowarzyszenie Wolnego Słowa.

Redakcja: Jan Strękowski,

Małgorzata Zaremba Jacek Giżyński

Redakcja dziękuje za udostępnienie

materiałów autorom i rozmówcom oraz

Erazmowi Ciołkowi, Annie, Jackowi i Wojciechowi Maziarzskiemu,

Krystynie Golińskiej-Engelmayer, Akosowi Engelmayerowi,

Zofii Broniek, Zbigniewowi Janasowi, Jarosławowi Brodzie,

Igorowi Wójcikowi, Stefanowi Melakowi. Szczególne

podziękowania należą się towarzyszom sztuki drukarskiej

z drukarni „Efekt” – Janowi Piotrowskiemu i Tadeuszowi Markiewiczowi.

Dziękujemy również wszystkim tym, o których mogliśmy w tej „Bibule” napisać.



stowarzyszenie wolnego słowa

